№ 48 Warszawa, dnia 14 (26) Listopada roku 1881.




# I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.



## Co robić z synami kończącymi nauki?

Z takiem pytaniem można się teraz często spotkać w zwyczajnej towarzyskiej pogawędce, w której ojcowie z wielkim frasunkiem nie wiedzą jak na to odpowiedzieć. Kwestya to bardzo dawna, piekąca i paląca, a chociaż i w teoryi i praktyce najzupełniej rozwiązana u nas jeszcze jest kwestyą gwałtem utrzymującą się w całej grozie swej niepewności.

Bo cóż robią synowie tak uboższych jak bogatszych rodziców w Niemczech, Francyi i Anglii, a przedewszystkiem w Ameryce?

Oto od najmłodszych lat słysząc, że czy majętny czy ubogi, musi sobie zdobyć w przyszłości chlebodajne stanowisko, że każda praca uszlachetnia, że nieposiadający jej specyalnie w najwyższym stopniu rozwoju i nieprzygotowany do przyswajania jej postępów, przy odziedziczeniu nawet znacznego mienia, musi dojść do ruiny; otóż słysząc to młodzież tamtejsza, jak tylko zacznie myśléć i zastanawiać się, zaraz zaczyna badać swoje usposobienie, i według tego rozglądając się po świecie, nadsłuchując, śledząc rozwój pracy ekonomicznej swojej ojczyzny, obiera sobie przyszłe zajęcie i w tym kierunku stosownie się przyspasabia.

Powie ktoś zapewne, że u nas tak samo. Zaprzeczę temu najzupełniej. Nie jest to grzecznie, ale szczerze. Prawda gniewa ale bez zbawiennego wpływu nie pozostaje. Bądźmy więc otwarci i mówmy sobie prawdy wzajemnie, gdyż grzecznostkami i etykietami daleko nie zajedziemy.

Otóż powtarzam, u nas jest inaczej. Namów do pracy nie brakuje, ale do jakiej? W tem właśnie kwestya cała spoczywa.

Na zachodzie wszystkie prace bez wyjątku są zalecane, z tym nadto dodatkiem, że choć która nie przedstawia warunków ubogacenia, a tylko daje pewność względnego dobrobytu, już jest dobrą i godną podniesienia. Po ukończeniu też szkół młodzież tam zostaje rzemieślnikami, kupcami, kramarzami, restauratorami, cukiernikami, nauczycielami, komisantami i t. p., zdolniejsza wychodzi na dyrektorów zakładów fabrycznych, przemysłowych, bankierskich a jeżeli przytem posiada odpowiednie fundusze, zajęcie obrane rozwija na większą skalę, albo poprzestając na skromniejszem stanowisku, do dochodu z własnej pracy dokłada dochód z odziedziczonego mienia i tem się zadawalnia jak najzupełniej. Wtem nadto krzątaniu się o zdobycie chlebodajnej pracy, nie zrażają się żadnemi początkowemi przykrościami, pojmując dobrze, że świat to nie dom rodzicielski, że ucząc się pracy pod dyrekcyą obcych ludzi, trzeba ponosić ofiary z własnej woli, z przyzwyczajeń, nawyknień, z różnych chętek i pragnień, być cierpliwym, wyrozumiałym, uprzejmym, słowem stosować się do wymagań nowego swego położenia bez krzywień i narzekania.

U nas tak nie jest: u nas rzemiosła zawsze jeszcze pogardzane, kupiectwo wstrętne, bankierstwo prawie nieznane, a jeżeli z konieczności młody człowiek poświęci się rzemiosłu lub handlowi, to tylko taki, który w szkołach nie może sobie dać rady i wie dobrze że po rodzicach nic nie odziedziczy. Wszyscy zaś inni zdatni i mniej zdolni, byle tylko zamożniejsi, pchają się do uniwersytetu i na mocy uzyskanego patentu zostają temi do czego mają prawo, bez względu, że stan zdobyty zupełnie nie odpowiada ich usposobieniu.

Było tak dawniej i dziś tak jest, z tą tylko różnicą, że dawniej po roku 1830, każdy zostawał urzędnikiem albo chwytał się gospodarki bodaj na folwarczku kilkuwłókowym: dziś zaś także o ile można szuka chleba w urzędzie, ale roli trochę się lęka, bo bez nauki nic z nią nie zrobi i zostaje najczęściej... literatem.

Jest to stan nowy dotąd zupełnie nieznany: mamy też mnóstwo piszących o wszystkiem co kto chce i żąda, zbieraczy nowinek, krytyków bo o to najłatwiej, kompilatorów, bazgraczy, partaczy czyli umiejących stawiać litery w pewnym ładzie i sensie, a więc słusznie przezwanych literatami, ale pisarzy z prawdziwym talentem jakże mało!

Dziwne to a tem dziwniejsze, że młodsze pokolenie z taką wrz wą napadło na przeszłość i bluznąwszy jej w oczy z szyderstwem zarzut marzycielstwa, wytrębywało konieczność poswięcenia się pracy ekonomicznej dotąd zupełnie zaniedbanej. Głos to był bardzo rozumny chociaż nie nowy, cóż jednak zrobili owi zapaleni pozytywiści rzucając gromy na starych marzycieli? Czy który z nich został rzemieślnikiem, kupcem, przemysłowcem lub bankierem?

Ani jeden!

Czy tak jest dobrze, czy to nie jest największe marnotrawstwo bogactwa inteligencyi narodowej?

Sądzę, że na to niepotrzeba odpowiadać.

Uchylanie się zatem od prac ekonomicznych choć było błędem przeszłości, ale zupełnie usprawiedliwionym okolicznościami: dziś w czasie przewagi pozytywizmu, sławionej tak praktyczności, pomiatającej wszystkiem co korzyści nie daje, co potrąca o poczucia serca i marzenia, usuwanie się to od rozwoju gospodarki narodowej jest błędem stokroć większym bo ze świadomością spełnianym.

Rzemiosła też, handel, przemysł, bankierstwo, zostały na boku tak jak i dawniej, a choć ciągle podnoszą się głosy wrzeszczące całem gardłem na ich rozwój lichy i nienarodowy, choć krzyczący najlepiejby zrobili gdyby sami spełnili radę przez siebie głoszoną, wszystko pozostaje w dawnym sto-

pniu zaniedbania i nerzekań, że żydzi nas wysysają a cudzoziemcy wyciskają.

Cóż więc mają robić synowie kończący naukę szkolną?

Oto poświęcić się pracy na wzór młodzieży zachodniej, zwłaszcza, że jak u nas wrota do niej na rozcież otwarte.

Na co spojrzéć, wszystko sprowadzamy z zagranicy począwszy od sztywtów drewnianych do kamaszków aż do kapelusza. Handel z małym wyjątkiem w rękach nie naszych, przemysł w obcem posiadaniu, a rzemieślnicy ciemnota zdolna tylko kuć, piłować i heblować, ale nie rozwijać pracy swej artystycznie i postępowo. Także tu wszędzie potrzeba zdolnych pracowników! Przez nich jedynie handel i przemysł wyrwać zdołamy z niedołęztwa i wprowadzić je na tory właściwe. Ale chcąc to dokonać, potrzeba wystąpić do walki z zapasem sił zdobytych zarówno w teoryi jak praktyce.

Trzeba tak jak młodzież na zachodzie, zacząć od poruszania miecha w kuźni, od usługi i posyłek, od kopertowania listów, od posługi w składach i magazynach, i wolno, stopień po stopniu, przez lata posuwając się coraz wyżej i wyżej, zostawać czeladnikami, majstrami, buchalterami, dozorcami, dyrektorami i t. d. aż do dojścia do własnych warsztatów, handlów, fabryk, kantorów i t. p. Ale do tego trzeba pracowitości, silnej woli i wytrwania, a szczególniej pozbycia się różnych uprzedzeń arystokratycznych dzielących prace na różne stopnie mniejszej lub większej szlachetności, a stanowiących niejako wadę naszą narodową. Gdzie tknąć wszędzie z nią spotkać się można, nie wyłączając nawet oberwańca z ręką w kieszeń wetkniętą, albo biedną śmieciarkę gniewającą się gdy ją panią nie tytułują.

Otóż przez tę wadę narodową, przymioty powyżej wymienione, słabo są u nas rozwinięte. Zapominamy, że wyuczenie się pracy jakiejkolwiek, aby z niej był chleb, jest trudne i niezmiernie mozolne, że dochodzi się do niej nie miesiącami ani półroczami ale całemi latami i to bardzo wolno, od zarobku przynoszącego złotówki, aż do rubli i więcej. Naukę też tych zajęć traktujemy po amatorsku, jakby więcej dla zabawy niż z potrzeby. Byle liznąć coś z tego, coś z owego, troszkę dotknąć się choćby jednym palcem, coś podsłuchać, podpatrzéć to już nam się zdaje, że jesteśmy skończonymi specjalistami, i po dwóch a najwyżej trzech latach pracy, uczeń rzemieślniczy chce zostać majstrem, handlowy kupcem a przemysłowy dyrektorem cudzej lub własnej fabryki. Z takiem przysposobieniem nic nie zrobi: próżne to marnotrawstwo czasu i zdolności, wierutne partactwo z którego wychodzą tylko... partacze na własną i kraju całego szkodę.

Tacy to niegdyś wzięli się, w najchwalebniejszym zamiarze, w celu obrony przemysłu rolnego od lichwy i wyzysku, do założenia banków handlowo-komisowych w kilku tutejszych guberniach i... zbankrutowali. Koniec taki łatwy był do przewidzenia. Praca tak jak rola, źle uprawna i obsiana pożytku nie daje, a nie ma znów żadnej, któraby prowadzona z całą umiejętnością, nie przynosiła odpowiednich korzyści. Numizmatyka zdaje się niepodobieństwem, aby zyski znaczne dawała, a jednak znałem bardzo zacnego p. B. dziś zmarłego, który w nieszczęściach ogólnych utraciwszy posiadane mienie, handlem jedynie numizmatów utrzymywał liczną rodzinę w Warszawie i robił nawet pewne oszczędności. Gdym się dziwił, aby tak nieprodukcyjna rzecz jak numizmatyka, mogła dać utrzymanie, odrzekł:

— Niech cię to nie dziwi, gdyż wszystko znane dobrze, ale z gruntu, we wszystkich najdrobniejszych szczegółach i umiejętnie prowadzone, staje się zawsze rzeczą bardzo produkcyjną. Otóż widzisz, numizmatykę znam dobrze, nietylko jako naukę ale jako przedmiot handlu. Znam katalogi wszystkich zbiorów publicznych a nawet prywatnych w całej Europie i u nas; wiem gdzie czego brakuje a czego mają nadto, czytam wszystko co tylko dotyczy numizmatyki w całym świecie, czego gdzie szukają, czego pragną, i odpowiednio do tego postępuję. Skutkiem tego rozwinąłem stosunki tak, że pragnący zbyć numizmaty sami się do mnie zgłaszają, i znalezione przypadkiem skarby przedstawiają do oceny i nabycia wierząc najzupełniej, że ich nie oszukam. Niedawno skarb taki, wynoszacy pół garnca srebrnych pieniążków, nabyłem jedynie za wartość wagi srebra jaką posiadają. Są one bardzo zużyte, wytarte, zapleśniałe, chcąc poznać je należycie muszę odczyścić o ile można najdokładniej, co i pracy i czasu wiele kosztuje, ale niech w zbiorze tym znajdę choć jeden pieniążek handlowej wartości, to przedaż jego zwróci mi koszt nabycia całego skarbu a reszta pozostanie w czystym zysku. Tym to sposobem z numizmatyki żyję i wcale nieźle zarabiam, posiłkując się jedynie znawstwem jej jak najdokładniejszem zarówno naukowem jak handlowem.

— Teraz rozumiem rzecz całą, odrzekłem, i pojąłem należycie wartość gruntownego znawstwa przedmiotu pod względem korzyści jakie przynieść może, nawet tak niepozorna rzecz jak numizmatyka. Gdyby u nas do innych prac z podobnem przygotowaniem przystępowano i umiejętnie ją prowadzono, toby narzekania ustały *co robić z synami po szkół ukończeniu.*

— Tak jest, potwierdził zacny p. B., a nawet dodam, że nie ma u nas zajęcia, któreby prawdziwie zdolnych w obranem zatrudnieniu, do mienia czyli wzbogacenia nie doprowadziły. Znam żebraków, którzy zebrali dość okażne kapitały: znam wyrobników, którzy doszli do względnej zamożności, znam stróżów kamienicznych którzy osiedli na kupionych koloniach z dość pękatemi workami: znam lokai dziś posiadających kamienice: znam wieśniaków nieustępujących w zamożności dziedzicom wsi, znam uczniów handlowych posługujących niegdyś gościom, dziś będących panami krociowemi: znam rzemieślników biegających niegdyś w parciakach, z gołą głową i w trepkach bez obcasów, dziś jeżdżących powozami: znam... ale czyż potrzeba wyliczać wszystkie zajęcia w których ludzie dochodzą do zamożności a nawet bogactwa? Nie ma ani jednego, każde dobrym chlebem darzy, każde daje byt upragniony i względną zamożność, ale warunek niezbędny, znajomość obranej pracy jak najzupełniejsza, wszystkich jej tajemnic, ciągła praca w kierunku jej rozwoju i umiejętność przyswajania sobie zdobyczy naukowych do jej ulepszenia stosowanych. Bez tego nic nikt nie zrobi, spółzawodnictwa z nikim nie wytrzyma, będzie wiecznym partaczem i nigdy do niczego nie dojdzie.

Otóż i odpowiedź *co robić z synami po szkół ukończeniu.* Uniwersytety zostawmy młodzieży szczególną obdarzonych zdolnością do prac umysłowych, albo też zamożnej, pragnącej nauki nie tyle dla chleba jak dla własnego wykształcenia. Ukończenie zaś szkół jest konieczne, pod wielu względami, a z tych najważniejszy, iż dają grunt, podstawę a więc możność rozwijania się naukowo w obranej specyalności. Nauka nikomu i niczemu nie zawadza. Ukończywszy więc ją niech idą do rzemiosł, fabryk, handlu, przemysłu, ale z wiedzą że szkoła pracy jest twardą, pozbawioną wielu rzeczy do jakich w domu przywykli, że w niej trzeba wytężyć wszystkie siły, zaniechać zabaw, rozrywek, tylko pracować, męczyć się, trudzić, znosić grymasy cudze i pracować bez końca i o pracy tyl ko myśléć. Uczmy ich przytem, że zdobycie umiejętnej pracy wymaga niemałego czasu, że muszą się na lata przygotować, przechodzić wszystkie jej stopnie, dotknąć się wszystkiego własną ręką, nie pominąć w niej najmniejszego szczegółu i że wprzód muszą zostać dobrymi pracownikami, umiejętnymi czeladnikami, zdolnymi subiektami, wykształconymi kancelistami, buchalterami i t. d. zanim przyjdą do własnych warsztatów, zakładów, fabryk, handli, kantorów, do których gdyby nawet nie doszli, to powinni cieszyć się i mniej wybitnem stanowiskiem, byle dającem przyzwoite utrzymanie. Do takiego zaś każdy dobić się może, a czy to mało znaczy?

Tak postępując młodzież nasza, dźwignęłaby niezmiernie całe gospodarstwo narodowe, przez nie kraj cały, sobie dała chleb obfity a wstrzymała rozwielmożnianie się żywiołów obcych, na co tak dawno choć bezskutecznie narzekamy. Podobnie działa młodzież w Anglii, we Francyi, w Niemczech, Ameryce a nawet u nas, ale, na nieszczęście, tylko synowie ojców wyznania mojżeszowego albo cudzoziemców.

Pójść ich śladem, zrzucić z siebie pychę, a chwycić się pracy całą duszą, na gwałt należy, i dopóki tego nie zrobimy, wiecznie będziemy obcych pachołkami.

W ostatnich numerach „Przyjaciela dzieci", w którym usilnie staram się wdrażać w swych czytelników prawdy powyżej wyłożone, pomieściłem opowiadanie p. t. *Bicz z piasku*, czyli urywek z życia niejakiego p. Karola Bapterose dziś jeszcze żyjącego w północnej Francyi. Jest on synem ubogiego nauczyciela wiejskiego, i jak tylko w latach bardzo młodzieńczych, dowiedział się z wykazów statystycznych, że Francya miliony rocznie płaci za guziki małe sprowadzane z Anglii, postanowił uwolnić ją od tego haraczu. Dla biednego chłopca było to zadanie nad siły, nie zraził się tem jednak. O chłodzie i głodzie, w fabryce żelaznej po ukończeniu nauki, został najprzód uczniem, praktykantem, później dziennie płatnym robotnikiem, następnie czeladnikiem, zwierzchnikiem warsztatów. Podczas tego wyuczył się mechaniki, konstrukcyi maszyn do wyrabiania guzików, języka angielskiego, w Anglii nauczył się samej fabrykacyi i jako mechanik wykrył błędy w używanych tamże maszynach. Przez ten czas żył bardzo skromnie, ale oszczędzał, ożenił się i dopiero w drugim roku małżeństwa, korzystając ze sposobności, odrzucone maszyny zamówione przez Anglików, kupił za własne fundusze, i gdy wyrób z nich pod względem dobroci nie ustępował angielskiemu, a w cenie był niższy, tak pomału fabrykę swą rozwinął, że dziś zabudowania jej stanowią jakby miasto samemi pałacami zapełnione, z wodotryskami, gazowem oświetleniem, ogrodami, posągami, sztachetami, w którem kilka tysięcy robotników znajduje dostatnie utrzymanie. Wszystko to oceniają na przeszło czterdzieści milionów franków, o tyle więc Francya zbogaconą została.

Pomimo tak ogromnego dorobku, p. Babterose na chwilę nie ustaje w pracy; żyje jak pan, przyjęcia urządza magnackie, ale pracuje z jedną za

wsze usilnością jak dawniej, a przedewszystkiem śledzi zdobycze nauki i co tylko w nich znajdzie praktycznego, zaraz stosuje do swojej fabryki, aby ją utrzymać na drodze postępu i nie dać się innym uprzedzić. Nadto, synów przeprowadził przez tę samą szkołę pracy, jaką sam niegdyś przechodził: zaraz po skończeniu nauki, jednocześnie z wykładem mechaniki, ubrał w bluzy i dał w rękę pilnik, młotek, dłuto, hebel, aby nauczywszy się pracy, umieli nią w warsztatach kierować. Dziś są też dyrektorami odzielnych oddziałów w wielkiej fabryce ojca, jej mechanikami biorącymi odpowiednią płacę, a zięciowie zajmują miejsca kasyera, magazyniera i głównego buchaltera.

Otóż tak jak postąpił p. Bapterose, cieszący się szacunkiem i poważaniem całej Francyi, radbym aby u nas cała młodzież podobnie zrobiła, nie z koniecznością dojścia do olbrzymiej fortuny, bo to rzadko się udaje, ale z myślą dorobienia się przyzwoitego utrzymania, do czego najprzód doszedł p. Babterose mając ciągle na myśli fabrykę guzików a przez nią uwolnienie Francyi od haraczu opłacanego Anglikom.

Tak działająca u nas młodzież, zahartowana w pracy, silna zdobytą umiejętnością nie po partacku ale do samego jej gruntu uzdolniona, śledząc ciągle jej postępy, wystąpi śmiało do współzawodnictwa z obcymi pracownikami, pokona ich i stopniowo wyrobami własnej pracy zastępować będzie zagraniczne przywozowe fabrykaty i zatrzymywać w miejscu kapitały na zakup ich wydawane. Tym jedynie sposobem rzemiosła, handel, przemysł wzmogą się u nas i wzrośnie bogactwo narodowe. Innego na to sposobu nie ma; tą drogą Anglia z Francyą przemysłem stanęli tak wysoko w całym świecie, stańmyż my tak samo choć we własnym domu. Czyżby to było niemożebnem?

*J. K. Gregorowicz.*

---

# LIRNICY—PIEŚNIARZE.

Ej lirnicy! ej pieśniarze!
Dzieci ziemi, rodem z nieba!
Dostarczacie wy, włodarze,
Z niw duchowych dla nas chleba.

Bez piosenek nie ma sławy,
Ni pamiątek, ni przeszłości,
Nie ma wesel, ni zabawy,
Ni młodości, ni miłości.

Co pochwyci ton piosenki,
Co na treść jej jest wybrane,
To duchowe ma sukienki,
Wonią nieba jest owiane

To nie tonie w życia gwarze,
Ni go zniszczą lat koleje,
Ej lirnicy! ej pieśniarze!
Wy prawdziwi czarodzieje!

Wy ludzkości przyjaciele,
My was cenim jak przystało;
Was wezwanych bardzo wiele,
Lecz wybranych bardzo mało.

*Autor Pamiątek z Litwy.*

# PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

## XLVI.

**Kto dożyje zobaczy.**

Gdy Karol i Helena spoczęli już w cichutkiej mogile, Benedykt uznawszy iż rodzina, którą ukochał już go nie potrzebuje, pomyślał iż czas jest przypomnieć Sturmowi że baron Fryderyk von Below naznaczył go wykonawcą testamentu.

Zawsze szanujący formy towarzyskie, ubrał się starannie, przypiął do piersi krzyż Legii honorowej i order Gwelfów i kazał się zameldować jenerałowi Sturm.

Jenerał był w swoim gabinecie i kazał go prosić. Gdy wszedł, Sturm uniósł się nieco na fotelu, wskazał mu krzesło i usiadł napowrót.

Nie zajmując wskazanego miejsca, Benedykt rzekł mu:

— Panie jenerale, nieszczęścia jakie jakby grom po gromie spadły na rodzinę de Chandroz, prędzej niż myślałem dozwalają mi przypomnieć mu iż Fryderyk umierając przekazał mi święty do spełnienia obowiązek: pomścić wyrządzoną mu zniewagę.

Jenerał się skłonił; Benedykt mówił dalej, oddawszy mu ukłon.

— Teraz już tylko pragnienie spełnienia ostatniej woli przyjaciela zatrzymuje mnie w Frankfurcie. Znasz ją pan, gdyż mu ją objawiłem: od tej chwili mam zaszczyt czekać oznaczenia terminu.

— Ma to znaczyć, odrzekł Sturm, pięścią uderzając w biórko, że przychodzisz pan wyzwać mnie na pojedynek?

— Tak, panie, odrzekł Benedykt. Świętą jest wola umierających, a wolą Fryderyka von Below jest, aby jeden z nas został na placu. Objawiam ją panu z tem większą ufnością, iż wiem że jesteś odważny, biegły we wszelkich ćwiczeniach ciała, że doskonale fechtujesz się i strzelasz. Ja nie jestem oficerem w wojsku pruskiem, a pan jakimś moim zwierzchnikiem. Jestem Francuzem, pan Prusakiem, dość Jeny i Lipska abyśmy byli sobie wrogami. Wszystko to każe mi się spodziewać, iż nie będzie pan robić żadnych trudności i zechcesz zaraz jutro przysłać mi dwóch świadków, między siódmą a ósmą rano, którzy porozumiawszy się z moimi, oznaczą czas i miejsse, oraz broń jaką pan wybierze.

Podczas tych słów Benedykta, jenerał dawał ciągłe oznaki zniecierpliwienia, potrafił jednak nie przekroczyć granic przyzwoitości.

— Przyrzekam panu, rzekł nareszcie, iż woznaczonej godzinie a nawet prędzej jeszcze, będziesz mieć wiadomość ode mnie.

Tego tylko pragnął Benedykt. Ukłonił się i odszedł, zadowolniony wynikiem rozmowy. Doszedłszy do drzwi przypomniał sobie, iż nie dał jenerałowi swego adresu u Lenhardta. Przysunąwszy się więc do stołu, napisał na bilecie wizytowym nazwę ulicy i numer domu, i rzekł podając jenerałowi:

— Trzeba przecież żeby pan jenerał wiedział gdzie mnie szukać.

— Przecież jesteś pan moim sąsiadem?

— Nie, panie, opuściłem dom ten onegdaj wieczór.

Zamierzając opuścić Frankfurt zaraz nazajutrz po odbytym pojedynku, jeźli tylko nie zostanie ciężko ranny, Benedykt zostawiwszy bilety wizytowe w domach w których był przyjmowany, udał się do swojego bankiera, podnieść złożone u niego pieniądze. Zatrzymany na wieczór, zabawił do jedenastej i pożegnawszy się wracał do mieszkania swego w domu Lenhardta. Gdy dochodził do rogu ulicy Ross-Markt, przystąpił do niego oficer pruski prosząc, aby się z nim udał, gdyż ma do niego polecenie od komendanta placu.

Nie stawiając żadnych trudności, Benedykt wszedł z nim na najbliższy odwach, gdzie na skinienie oficera otoczyli go żołnierze.

— Proszę chciej pan przeczytać wystosowane do niego polecenie, rzekł oficer.

Wziąwszy papier, Benedykt czytał:

„Z rozkazu pułkownika komendanta placu, z tytułu bezpieczeństwa publicznego, poleca się panu Benedyktowi Turpin, aby natychmiast opuścił Frankfurt z miejsca w którem dojdzie go to postanowienie. Gdyby dobrowolnie nie spełnił rozkazu, siłą zostanie zmuszony do posłuszeństwa. Sześciu żołnierzy pod dowództwem oficera odprowadzą go na dworzec drogi żelaznej kolońskiej, wsiądą razem z nim do wagonu i nie odstąpią aż po za granicą pruską.

Rozkaz ten ma być wykonany dziś jeszcze przed północą."

Obejrzał się do koła, nie było żadnego środka obrony.

— Panowie, rzekł, oznajmiam wam, iż gdyby było w mojej mocy oprzeć się wydanemu rozkazowi, nie zaniedbałbym nic żeby ujść z waszej mocy. Ale macie za sobą przemoc i siłę, a wasz wielki minister, którego bardzo podziwiam choć nie miłuję wcale, wyrzekł słowa odpowiadające Cycerońskiemu *Cedant arma togae* „siła przed prawem". Byłbym jednak bardzo obowiązany któremuś z panów, coby zechciał udać się na ulicę Bockenheim Nr. 17, do domu wynajmującego powozy, nazwiskiem Lenhardt, i prosił go aby mi przyprowadził mojego psa, którego nader wysoko cenię. Korzystając z tej sposobności, dam mu wobec panów kilka poleceń małej wagi, niezbędnych wszakże, gdy ktoś jest zniewolony niespodziewanie i nagle opuścić miasto, w którem bawił trzy tygodnie.

Oficer rozkazał żołnierzowi spełnić żądanie Benedykta.

— Panie, rzekł do niego, wiem że byłeś przyjacielem pana von Below, którego wszyscy ceniliśmy bardzo wysoko; jakkolwiek nie mam zaszczytu być mu znanym, byłoby mi bardzo przykro gdybyś opuścił to miasto ze złem o mnie wyobrażeniem. Wydano mi rozkaz aresztowania pana w warunkach w jakich tego dokonałem. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan postępek w którym wola moja żadnego nie miała udziału i który spełniłem z największą jak mogłem względnością.

Benedykt podał mu rękę.

— I ja także służyłem w wojsku, rozumiem więc położenie pana i dziękuję najmocniej za objaśnienie, którego mogłeś mi nie dawać.

Niezadługo nadszedł Lenhardt z Frygą.

— Kochany Lenhardt, rzekł Benedykt, nieprzewidzianie opuszczam Frankfurt; bądź tak dobry

zapakuj wszystkie moje rzeczy i wyślij mi je za parę dni pośpiesznym pociągiem do Paryża. Gdybyś chciał odwieźć je sam, poznałbyś wielkie nieznane ci miasto, a ja już postarałbym się żebyś się tam dobrze zabawił. Nie umawiam się z tobą o wynagrodzenie, bo wiesz, że nie zrobię ci krzywdy.

— O! dobrze, panie, pojadę sam, pojadę najchętniej, możesz pan być tego pewny.

— A teraz, zdaje mi się że czas już na kolej; zapewnie przyjechałeś twoim powozem, jedźmy!

Żołnierze stanęli rzędem z obu stron, aż do stojącego przed odwachem powozu. Fryga wskoczył najpierwszy patrząc na pana, jak gdyby prosił go żeby wsiadł za nim. Benedykt i oficer wsiedli do powozu; dwóch żołnierzy uzbrojonych usiadło na przodzie, jeden na koźle, jeden za powozem i ruszono do kolei kolońskiej.

Lokomotywa gwizdnęła gdy wchodzili na dworzec; nie potrzebowali więc oczekiwać w sali. Wyszli na platformę; na żądanie Benedykta, oficer kazał otworzyć wagon pierwszej klasy, a choć w Prusach nie ma zwyczaju, aby psy jeździły tą klasą, Benedykt potrafił uzyskać pozwolenie dla swego faworyta.

Nazajutrz byli w Kolonii.

— Panie, rzekł Benedykt do oficera, ilekroć jestem w Kolonii, mam zwyczaj zrobić zapas wody Kolońskiej Jana Maryi Farina. Jeźli panu nie jest nadzwyczaj pilno wracać, prosiłbym go o dwie rzeczy: najpierw chciej poprzestać na mojem słowie honoru, że nie ucieknę i dotrzymam mu towarzystwa aż do granicy pruskiej; powtóre, abyś raczył przyjąć dobre śniadanie dla siebie i panów żołnierzy, z warunkiem, że zasiądziemy wszyscy do jednego stołu, bez różnicy stanowisk i stopni. Po śniadaniu wyjedziemy pociągiem południowym, jeźli nie wolisz zaufać memu zapewnieniu, że sam odjadę wprost do Paryża.

Oficer się uśmiechnął.

— Dobrze więc, rzekł, zastosuję się do życzeń pana. Chciałbym abyś uniósł o nas to przekonanie, że tylko w razie odebranych rozkazów jesteśmy grubianie i dokuczliwi. Życzysz pan sobie pozostać, zostaniemy; dajesz mi słowo honoru, poprzestaję na niem. Pragniesz abyśmy śniadali razem, jakkolwiek nie zgadza się to ani ze zwyczajami ani z karnością pruską, zgadzam się i na to; pozwolisz tylko abyśmy odprowadzili cię na kolej południową, nie przez nieufność ale dla naszej przyjemności. Gdzież mamy się spotkać?

— Jeźli łaska, za godzinę w hotelu *Renu.*

— Nie potrzebuję mówić, rzekł oficer po francuzku, aby żołnierze nie zrozumieli, iż gdyby się dowiedziano w jaki sposób postępuję z panem, zostałbym zdegradowany.

— Możesz pan być zupełnie spokojny, odrzekł z ukłonem Benedykt.

I poszedł ku placowi Katedralnemu, gdzie jest skład wody kolońskiej Jana Maryi Farina, a oficer z żołnierzami udał się w przeciwną stronę.

Benedykt zaopatrzył się w znaczny zapas wody kolońskiej; łatwo mu było go przewieźć, ponieważ nie miał innych pakunków. Kazał flaszki zapakować i odnieść do hotelu *Renu*, w którym zwykle stawał.

Tam zamówił najwykwintniejsze śniadanie, na jakie tylko mógł się zdobyć restaurator hotelowy, oczekiwał zaproszonych gości, którzy stawili się o oznaczonej godzinie.

Śniadanie przeszło bardzo wesoło; pili zdrowie Francyi i za zdrowie Prus; ponieważ Prusacy pierwsi wnieśli toast na cześć Francyi, Benedykt musiał odwzajemnić tę grzeczność. Po skończonem śniadaniu odprowadzono go z honorami na dworzec i sam już wsiadł do wagonu.

Pociąg ruszył o dwunastej; w samej chwili odjazdu, oficer uścisnąwszy dłoń Bnedykta, oddał mu list, prosząc aby nie rozpieczętowywał go póki pociąg nie ruszy.

Pożegnali się obiecując sobie, że jeszcze zobaczą się kiedyś, bądź jako przyjaciele, bądź jako wrogowie.

Jak tylko pociąg ruszył, Benedykt rozpieczętował list i zaraz spojrzał na podpis. Jak się tego domyślał, był to list od jenerała Sturma. Oto co zawierał.

„Mój kochany panie!

Pojmujesz że wyższy oficer nie może dawać złego przykładu, przyjmując wyzwanie mające za cel zemstę za oficera, który został ukarany za nieposłuszeństwo swemu zwierzchnikowi. Gdybym się pojedynkował z panem w sprawie tak antimilitarnej, dałbym wojsku najzgubniejszy przykład.

Więc, jak na teraz, nie przyjmuję wyzwania pana, a chcąc uniknąć skandalu, uciekam się do najgrzeczniejszego środka, jaki mam do rozporządzenia.

Sam pan przyznałeś, że jestem odważny, dodając iż wiadomo ci że doskonale strzelam i biję się na szpady; nie możesz więc przypisać mojej odmowy obawie spotkania się z tobą.

We wszystkich językach jest przysłowie: *góra z górą się nie zejdzie ale człowiek z człowiekiem zejść się może;* jeźli więc spotkamy się gdziebądź indziej jak w Prusach, a pan będziesz zawsze w usposobieniu zabicia mnie, pomyślimy o załatwieniu tej sprawy. Ale uprzedzam pana, że nie przyjdzie to tak łatwo, i ciężej niż myślisz przyjdzie ci dotrzymanie przyrzeczenia uczynionego zmarłemu przyjacielowi.

Mam zaszczyt pożegnać pana.

Jenerał Sturm.”

Benedykt złożył list jak najstaranniej i schował do pugilaresu, poczem włożywszy pugilares do kieszeni, oparł się w rogu wagonu, i zamykając oczy aby zasnąć, rzekł sobie:

— Dobrze, kto dożyje zobaczy!

## ZAKOŃCZENIE.

Obecność Prusaków w Fraukfurcie, teroryzm ich i przerażenie jakie wywoływał, nie skończyły się wraz z opisanemi przez nas wydarzeniami; ale na tem skończymy nasze opowiadanie.

Podajemy tylko krótki ustęp na zakończenie, który równie jak początek, będzie czysto politycznym.

W końcu września 1866 roku Frankfurt dowiedział się iż traci swoją narodowość, tytuł wolnego miasta, przywilej posiedzeń Sejmu, swoje prawa członka Rzeszy, i że od 8 października ma zostać przyłączony do Królestwa Pruskiego.

Dnia 7 października wydano rozkaz, aby na wszystkich domach powiewały pruskie chorągwie i aby wszyscy obywatele objawiali jak największą radość z przyłączenia do korony pruskiej.

Nazajutrz nastał dzień ponury i dżdżysty; ani jeden dom nie wywiesił chorągwi czarnej z białem, ani jeden smutny lub wesoły obywatel nie pojawił się na ulicach, wszystkie okna i drzwi dzmów były pozamykane.

Frankfurt wyglądał jak miasto umarłe.

Tylko na koszarach, na giełdzie, na biórach telegraficznych i gmachu pocztowym powiewały pruskie chorągwie.

Na jednym tylko placu Roemera zebrało się trzystu do czterechset mieszczan z Sachsenhausen, i dziwna rzecz! każdy trzymał na smyczy jakiegoś psa: buldoga, wyżła, charta, szpica, kundla lub pudla. Możnaby sądzić, że to jarmark na psy.

Wpośród tego zbiorowiska psów i ludzi, przechadzał się Lenhardt, opowiadający o pięknych rzeczach jakie widział w Paryżu. Słuchano go jako przywódzcy i mówcy.

On to zwołał to zebranie współziomków z Sachsenhausen, poleciwszy im cichaezem, aby każdy przyprowadził jakiegoś psa.

Ludzie i psy patrzyli na okno z którego miała być odczytana proklamacya.

Stali tak od godziny dziewiątej rano.

O jedenastej zebrali się w sali Cesarzów przy placu Roemera, członkowie Senatu, duchowieństwo chrześciańskie i rabini, profesorowie szkół, znakomitości wszystkich władz, główno dowodzący jenerał von Boyer i oficerowie garnizonu, aby być świadkami objęcia w posiadanie byłego wolnego miasta Frankfurtu przez j. k. mość króla pruskiego.

Gubernator cywilny, baron von Patow, komisarz cywilny von Madei, wyszedłszy z sali posiedzeń Senatu, w której niegdyś obierano cesarzów Niemiec, weszli do wielkiej sali.

Po przedwstępnem przemówieniu, pan von Patow przeczytał zgromadzeniu akt objęcia w posiadanie byłego wolnego miasta Frankfurtu, a następnie proklamacyę królewską zwiastującą przyłączenie go do korony pruskiej.

Z kolei, miano toż samo ogłosić ludowi.

Otworzono okno; rozległ się odgłos szeptów i szyderskich okrzyków mieszczan z Sachsenhausen, oraz skomlenie ich psów.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że oprócz tychże mieszczan, znajdowała się jeszcze na placu kompania 34 pułku liniowego i muzyka tegoż pułku.

Pan Madaï odczytał głośno następującą proklamacyę.

*„Najwyższa proklamacya j. k. mości naj. króla pruskiego do mieszkańców byłego wolnego miasta Frankfurtu.*

Czy to głos pana Madaï tak był niemiły słuchaczom, czy też tak zadraźniło ich wyraźnie *„byłego wolnego miasta Frankfurtu”*, dość że kilka psów zawyło żałośnie. Poczekawszy aż nastała cisza, pan Madaï czytał dalej, zawsze w imieniu króla:

„Postanowieniem jakie ogłosić poleciłem, przyłączam was, mieszkańcy miasta Frankfurtu nad Menem, z przyległościami do poddanych moich, waszych sąsiadów i braci niemieckich.”

Pięciu czy sześciu psów zaprotestowało wyciem przeciw temu przyłączeniu. Pan Madaï zdawał się tego nie słyszeć i czytał dalej:

„Skutkiem wojny i reorganizacyi wspólnej ojczyzny niemieckiej, przestajecie używać dotychczasowej niezależności i będziecie stanowić jedność z wielkiem państwem, którego ludność połączona jest z wami językiem, obyczajami i wspólnością interesów.”

Widać wiadomość ta nie podobała się wielu słuchaczom, gdyż dały się słyszeć skargi, szemranie i utyskiwania.

Pan Madaï zdawał się pojmować tę bolesną protestacyę.

„Jeźli bolesnem jest dla was zerwanie uprzednich, drogich wam stosunków, szanuję to uczucie

wasze, uważając je zarazem jako rękojmię, że wy i dzieci wasze będziecie równie wierni mnie i domowi mojemu.”

Olbrzymi tylko jeden buldog zaszczekał głośno, ale zdawało się iż był on przedstawicielem przekonań kilkuset swoich.

Nie zmieszało to wcale p. Madaï, spokojnie czytał dalej:

„Spodziewam się, że uznacie konieczność faktów dokonanych; gdyż jeźli owoce zaciętej wojny i krwawe zwycięztwa nie mają być stracone dla Niemiec, obowiązek własnego bezpieczeństwa i troska o dobro i sprawy narodowe domagają się koniecznie, aby miasto Frankfurt stale i nazawsze było przyłączone do Prus.”

W tej chwili pies jakiś zerwał się ze smyczy, i pomimo krzyku: „Stój buntowniku! stój buntowniku!” i gonienia za nim kilku uliczników, znikł w ulicy Żydowskiej.

„Jak to powiedział ojciec mój błogosławionej pamięci, czytał dalej pan Madaï, Prusacy powiększają się jedynie dla dobra Niemiec. Chciejcie poważnie zastanowić się nad tem, a ufam waszemu zdrowemu rozumowi i poczuciu niemieckiemu, że zaprzysiężecie mi wierność równie szczerze jak mój lud. Co daj Boże!

Wilhelm I.

Dnia 3 października, w naszym pałacu Babelsberg, 1866 roku.”

Na zakończenie podniósł głos i zawołał:

— Niech żyje król pruski! Niech żyje Wilhelm I!

I w tejże chwili czarna z białem chorągiew powiała na najwyższym szczycie pałacu.

Ani jeden głos nie powtórzył okrzyku pana Madaï; usłyszano tylko Lenhardta jakby wygłaszającego komendę:

— A teraz, moje miłe ciucie, skoro już macie zaszczyt być psami pruskiemi, krzyczcież: „Niech żyje król!

Wtedy każdy z obecnych nastąpił na ogon, na łapę lub na ucho swego psa, w skutku czego powstał straszny hałas, psy zaczęły ujadać na wszystkie tony, od najniższych do najwyższych i zaledwie muzyka pułkowa zdołała zagłuszyć wrzawę, zacząwszy grać narodowy hymn pruski: *Heil dir im Sieges Kranze!* Co znaczy: „Chwała tobie o królu w zwycięzkiej koronie!”

I oto w jaki sposób wolne miasto Frankfurt zostało włączone do Królestwa Pruskiego.

Jednakże wiele osób twierdzi że jest tylko przyfastrzygowane a nie przyszyte!

*(D. n.)*

* *
*

Wierzyłem — dziś z tej wiary już szczypta popiołu,
W alabastrowej urnie pamięci zamknięta,
Bez wartości i wdzięku dla wielu — lecz święta
Dla tych co ją rzeźbili wśród serca mozołu.

Wierzyłem i w to serce, dziś po latach wielu,
Zmarnowanych bezsilnie, śmiech pusty mnie bierze,
Na skrzące blaski uczuć, miłości pacierze,
Rozrzucone jak perły po drodze bez celu.

Wierzyłem — lecz dość tego! Moja cudna wiara,
Lśniąca niegdyś różami na wiośnianem niebie,
Wygląda jako szkielet, widziadło lub mara,
I serce tylko zadrży... gdy spojrzę na ciebie!

*Lutnista.*

# OPOWIADANIA Z POBYTU W AFRYCE,

Przez

**Stefana Marusińskiego.**

(Dokończenie.)

III.

Już po zachodzie słońca zbudziłem się, lecz tak rzeźki i zdrowy się czułem jak nigdy. Antonin zaś, który cały swój dobry humor odzyskał, usiłował mnie przekonać, że dozorca łaźni za pomocą czarów bogini Circe przemieniał nas w inne stworzenia i że odrodzeni, rozpoczynamy taraz nowe życie.

I w istocie kąpiel arabska, chociaż nader nieprzyjemna dla nieprzywyczajonego, skutki jej jednakże w tym gorącym klimacie są nader zbawienne.

Ubrawszy się tedy wyszliśmy nieco przed dom dla użycia chłodu. Całe zgromadzenie z wczorajszego wieczoru zebranem było na dywanie; zrobiono nam natychmiast miejsce a szeik po dowiedzeniu się jak nam kąpiel posłużyła, dodał, że dzisiejszej nocy ma się odbyć w jego domu fantazya przygotowana na nasze przyjęcie, na którą nas jak najetykietalniej zaprosił. Właśnie w chwili gdy Muezzin z minaretu poblizkiej moszei słowami Ałłah akbar (¹) wieczorną modlitwę rozpoczął, nadszedł służący z oznajmieniem że wieczerza gotowa.

Po przejściu do obszernej sali, gdzie już nizki stół nakryty elegancko plecioną matą był ustawiony, zbliżył się do nas służący z serwetami na ramieniu, podając olbrzymią miednicę z przykrywą w pośrodku, w której na małem wzniesieniu kawałek mydła się znajdował. Po umyciu rąk bez użycia mydła jednakże, zasiedliśmy na ziemi, skrzyżowawszy nogi na sposób turecki. Na ogromnej tacy miedzianej zastawione były potrawy w nadzwyczajnej ilości a wszystko w małych kamiennych miseczkach: tu balwich (²) gotowane z sosem, meluchie (³) z baraniną, ryż z mięsem koźlęcia, sos cebulowy, kurczęta nadziewane pszenicą, ówdzie znów mięso bawołu posiekane na drobne kawałki, baranina pieczona na węglach, daktyle smażone w maśle, słodkie omlety z krochmalu, kilka arbuzów, melonów, ser kozi oraz świeżo pokrajane adżury (⁴). W samym środku stołu na okrągłej glinianej misie leżało pieczone jagnię, bez którego żadne większe przyjęcie obejść się nie może. Oprócz tego wiele innych rodzajów potraw, których nazwa nawet w arabskim języku jest mi nieznaną i smaku, których żaden europejski nie pojmie żołądek. Wszystkie te potrawy z wyjątkiem słodyczy napojone były obficie sokiem limony (⁵), posypane pieprzem i innemi korzeniami. Przy każdej miseczce zdajdował się mały płaski bocheneczek chleba, rodzaj podpłomyka. Jak bowiem powszechnie wiadomo, na wschodzie mieszkańcy rękami jadają, ułamując kawałeczek chleba i trzymając w trzech palcach, macza się takowy w sosie, lub odskubuje po trochu mięso, lewa ręka jednak zostaje bezczynną i jest to przekroczeniem etykiety, gdy się kto takową posługuje. Za napój służyła woda z kwiatem pomarańcz i róż przyprawiona, który służący w glinianych gullich (¹) trzymali. Częste picie wody jednak w czasie jedzenia nie należy do dobrego tonu.

Z doskonałym apetytem zabraliśmy się do wieczerzy, trzeba było jednakże jeść bardzo powoli stosownie do tutejszych obyczajów, lecz gdy w końcu połowa miseczek się wypróżniła a z pieczonego jagnięcia kości tylko pozostały, uprzątnięto tacę i wniesiono pieczonego indora, tłusty ogon barani i wiele innych rodzajów mięsiw oraz pomidory i młode cebulki. Na deser zjawiły się orzechy kokosowe, winogrona, wyborne konfitury z Mekki oraz miód i świeże masło z cukrem przetapiane.

W czasie kolacyi gospodarz oraz inni goście wyszukując najlepsze i największe kawałki z potraw i biorąc takowe we dwa palce podawali nam, jako oznakę szacunku i przyjaźni. Jest to nader stary zwyczaj tu na wschodzie, Biblia już bowiem o nim wspomina mówiąc o uczcie, którą Józef dla swych braci wyprawił gdzie tenże rozkazał największe i najlepsze porcye dawać Benjaminowi.

Przez cały czas trwania wieczerzy kilku niewolników poruszało bez ustanku olbrzymiemi wachlarzami z piór, chłodząc powietrze, w sali bowiem było gorąco nie do wytrzymania.

Po umyciu wreszcie rąk i ust przyczem użycie mydła jest niezbędnem, wniesiono kawę, którą piliśmy siedząc na dywanach i oczekując rozpoczęcia fantazyi.

Zjawiły się też wkrótce Almee czyli publiczne tancerki, rodzaj indyjskich bajaderek, które wygnane przez Mehmeta Ali do miasta Esneh w górnym Egipcie, za panowania jednak jego następcy opuściły miejsce wygnania i rozeszły się napowrót po wszystkich miastach, a dziś jest ich tu pełno w całym kraju.

Tancerki owe są to po największej części młode dziewczęta, które dzieląc się na korporacye, podlegają władzy, jednej ze starszych kobiet.

Na dziś jako na uroczystość, Almee poczerniły brwi i podmalowały szeroko oczy czarnym proszkiem, aby je tem ognistszemi wydać, dłoń zaś i paznokcie u rąk pomalowane były henną. (²) Jest to zwyczaj jeszcze staro-egipski i groby tebańskie przechowały nam maleńkie pudełeczka napełnione henną i owym proszkiem służącym do podniesienia wdzięków mieszkanek doliny Nilu.

Ubiór ich składał się z lekkich bufiastych szarawarów, zwanych „szentyjan”, na co zarzucają wąską tunikę, spadającą poniżej kolan prawie. Tunika ta z jaskrawego jedwabiu, naszywana złotem i srebrem bardzo bogato, migocąc przy swietle lśni się jak łuska węża. Na szyi zawieszają mnóstwo złotej monety, która spadając aż do pasa prawie, pokrywa piersi jakby pancerzem i za każdem poruszeniem tancerki, lekki metaliczny dźwięk wydaje. Włos uczesany gładko na czole spływa z tyłu w setkach małych warkoczy poprzeplatanych sznurkami z mnóstwem drobnej monety. Na głowie fular zgrabnie zawiązany pokryty rodzajem wieńca z wielkich złotych liści, sztucznie wpleciony. Olbrzymie kolczyki u górnej części ucha

(¹) Bog jest wielki!

(²) *Balwich*, rodzaj nasion malwy długości 2-ch cali przynajmniej; przyrządzone z sosem stanowią lekką i smaczną potrawę.

(³) *Meluchie*, rodzaj ślimaka.

(⁴) *Adżuży*, słodkie ogórki, dochodzące niekiedy do 10-u funtów.

(⁵) *Limony*, rodzaj dzikich cytryn.

(¹) *Gullich*, dzbanek z niepalonej gliny z wązką szyją, woda przesączając się przez ściany naczynia staje się zimną i nabiera przyjemnego smaku.

(²) Roślina wydająca farbę czerwoną.

zawieszone i szerokie ciężkie bransolety dopełniają ten oryginalny kostium, na nogach zaś maleńkie czerwone meszty centkami naszywane. Widziałem nieraz Almee których kostium i ozdoby wartość 2 tysięcy franków przenosiły.

Na pierwszy odgłos muzyki, składającej się z darhabuki, fletów i rodzaju arfy, tancerki rozdzielone na dwie strony, bijąc zlekka w kastaniety ([1]) zbliżały się powolnym krokiem do środka sali, zkąd po małym piruecie odwracały się zdążając napowrót na swoje miejsca. Po tem maleńkiem preludyum, muzyka rozpoczyna melodyą, której krótkie urywane tony zdają się elektryzować tancerki. Z podniesionemi tedy w górę rękami, bijąc coraz żywiej w kastaniety, z przegiętą naprzód postacią i pałającemi oczyma szybkim krokiem zbliżają się ku środkowi, gdzie znalazłszy swe towarzyszki rozpoczynają ów taniec znany pod nazwą tańca Almei, a którego szał i dzika namiętność nie są do opisania.

Spójrz na te dziewczęta, na ich na wpół otwarte usta, dzikim ogniem błyskające oczy, gorącym oddechem falujące łono a mimowoli zamykasz oczy chcąc uciec przed tym widokiem rozigranej namiętności. Muzyka w coraz krótsze gra tony, głos darhabuki zagłuszył flety i harfę. Tancerki jakby wycieńczone tańcem padają omdlałe na ziemię, lecz trwa to chwilę tylko, niedługo bowiem podnoszą się i usiadłszy na piętach wyciągają naprzód ramiona zbliżając się a raczej pełzając do siebie z ruchem i zwinnością pantery zdobycz podchodzącej. W tańcu tym nieruchomość górnej połowy postaci z drganiem dolnej, które lekkość sukien rażąco uwydatnia, tak dziwną sprzeczność tworzy, że do dziś nawet nie mogę patrzeć bez wstrętu i odrazy na podobne widowisko.

Na zakończenie wieczoru odtańczyła jedna z Almei tak zwany taniec ze świecą. W butelkę kamienną napełnioną wodą zatknięto zapaloną świecę a tancerka postawiwszy takową na głowie, wykonywała rozmaite pas, to siadając na ziemi, to znów podnosząc się, lub tańcząc z lancą w ręku rodzaj wojennego marsza.

W końcu przyniesiono kilka poduszek, które w pośrodku sali na kobiercach poukładano. Tancerka usiada na ziemi, następnie skłaniając powoli ciało opiera się plecami na jednej z poduszek i bijąc w kastaniety, toczy się wokół po pokoju z taką szybkością, że płomień świecy wirując tworzy ogniste koło po nad głową tańczącej. Nadzwyczajna zręczność z jaką taniec ten był wykonanym wywołała frenetyczne okrzyki i pochlebne pochwały zgromadzonych gości.

Po oddaleniu się Almei tak około godziny 4-ej (11-ej na nasz rachunek) w nocy, udaliśmy się do moszei, gdzie obchodzono uroczystość rozpoczęcia mulitu. Za naszym przybyciem procesya rozpoczęła swój pochód naokoło miasta. Z rozlicznych instrumentów złożona muzyka postępowała na czele, za nią kilkudziesięciu starszych Arabów niosło olbrzymie kagańce z setkami lamp i pochodni, dalej tańczyli derwisze, a tuż za nimi jechali na prześlicznie przybranych rumakach dwaj potomkowie z rodziny szecha Mahmuda, poprzedzani przez kilku derwiszy niosących olbrzymie smolne szczapy i wyśpiewujących:

„Uard kan szok min arag el nebi fetach"! ([2])

([1]) Kastaniety te składają się z 4-ch maleńkich mosiężnych talerzyków, które tańcząca po 2 u każdej ręki przyczepione trzyma.

([2]) Róża była cierniem, pot Proroka ją rozwinął.

W końcu tłumy pospólstwa, upojone haszyszem, krzycząc i śpiewając oddawały się powszechnej radości.

Procesya owa tedy po obejściu do około wioski przybyła przed moszeę. Derwisze i inne duchowne osoby oraz znaczniejsi mieszkańcy weszli z nami na podwórzec moszei, gdzie kilkadziesiąt dywanów wokoło muru ustawionych się znajdowało. Pospólstwo zaś rzuciło się tłumem do namiotów ([1]) gdzie nanowo paleniu haszyszu i opium z całą namiętnością fanatyczny ten lud się oddał.

Po zabraniu miejsc na dywanach, służący moszei obnosili kawę w blaszanych imbrykach mieszczących każdy po garncu przynajmniej. Bo też i zaproszeni byli w liczbie przeszło 600 osób.

Gdy się zwyczajowe pozdrowienia synów szeika ukończyły i uciszył się nieco tłum gości, rozpoczęli derwisze taniec lecz w innym niż dotąd rodzaju, tworzyli bowiem olbrzymie koło i zamiast zginania się podskakiwali w górę i zwiesiwszy głowę naprzód upadali całym ciężarem ciała na ziemię śpiewając przytem tak dziko że mnie aż dreszcze przechodziły.

Od czasu do czasu, gdy derwisze szalone podskoki nieco zwalniali, ludowy śpiewak intonował pieśń której melodya i słowa obecnych w ekstazę wprawiały: po każdej strofie cały tłum bijąc w ręce i kiwając głowami wykrzykiwał „aach! ałłah! ach ja liel"! ([2]) derwisze zaś w tak wściekły zapał wpadali, że doprawdy już mi się waryacya chwytała patrząc na tę całą ceremonię.

Do tego obecni co chwila zarzucali nas zapytaniami:

— A co czy nie pięknie? Czy oczy wasze widziały co wznioślejszego na tej ziemi, i czy nasza wiara nie jest najpierwszą w świecie?

Naturalnie, chwaliliśmy wszystko jak mogli, bo jedno zaprzeczenie, lub obojętna odpowiedź mogły nas były drogo kosztować, wśród tych rozszalałych i fanatycznych tłumów.

W końcu jednak pożegnawszy obecnych, oddaliliśmy się życząc im dobranoc i w towarzystwie szeika oraz kilku gafirów ([3]) z pochodniami opuściliśmy moszeę udając się prosto do domu.

Nazajutrz jeszcze przed wschodem słońca przyprowadzono nasze konie i pomimo nalegań szeika, aby jeszcze kilka dni przynajmniej w jego domu zabawić, opuściliśmy wioskę zostawiając gościnnemu gospodarzowi angielski rewolwer i nóż myśliwski, jako pamiątkę naszych odwiedzin. Podarunek ten nadzwyczaj go ucieszył i w zamian ofiarował nam dwa tłuste barany, których jednakże będąc konno, na ogromne zmartwienie Antonina, zabrać nie mogliśmy.

Po kilkagodzinnym szybkim marszu, już dobrze popołudniu, ujrzeliśmy wreszcie błękitną wstęgę Nilu, i niedługo potem wśród gajów palmowych pokazały nam się minarety Sohag, gdzieśmy o zachodzie słońca, zmęczeni wprawdzie lecz zdrowo i wesoło bez wypadku przybyli.

Sohag, (Górny) Egipt) w Czerwcu 1881 r.

# PRZEGLĄD LITERACKI.

*Źródła dziejowe*, tom VII. Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta w r. 1566 — 1568, dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich. Wydał i wstępem historycznym objaśnił Adolf Pawiński. Warszawa 1879 r.

„Źródeł Dziejowych", wydawanych głównie pod redakcyą pp. Pawińskiego i Jabłonowskiego, wyszło właściwie już dziewięć tomów, gdyż niezawsze następujące po sobie tomy opatrzone były numerami porządkowemi. O wszystkich niemal tomach tego szacownego i pożytecznego wydawnictwa wspominałem dawniej w „Tygodniku"; pomnikowe to przedsiewzięcie pozostanie jako chlubny dowód ofiarności obywatelskiej na rzeczy wyższe i szlachetne, gdyż znaczne koszta wydawnictwa są opłacane ze szczodrobliwości prywatnej, a na szerszy zbyt tych dzieł specyalnych i odpowiednio do znacznej swej objętości dosyć kosztownych, rachować u nas trudno.

Tom niniejszy, ostatni z wydanych dotychczas, poświęcony jest stosunkom Polski do hołdowniczego księstwa pruskiego w latach 1566 i 1568. Właściwiej zaś mówiąc, do dziejów wymienionych lat ściągają się same tylko materyały, akta, dokumenta, listy, traktaty i dyaryusze, pisane po większej części w języku łacińskim, niektóre zaś po niemiecku, wzięte przez wydawcę z archiwów metryki koronnej, w mniejszej zaś części z wydawnictw źródłowych drukowanych już dawniej, uzupełnione własnemi poszukiwaniami p. Pawińskiego w archiwach królewieckich. Oprócz zaś tych materyałów, nieco surowych i dla ogółu czytelników mało przystępnych, mamy w tej książce, jak i we wszystkich poprzednich, objaśniający i streszczający owe źródła wstęp historyczny, pióra p. Pawińskiego, skreślony zajmująco i udatnie. Zawiera się tu zupełny obraz stosunku Polski do lennego księstwa pruskiego od samego początku tego księstwa w 1526 roku, gdy Albrecht brandeburski, ostatni mistrz krzyżacki, otrzymał od króla Zygmunta I-go inwestyturę, jako pierwszy książę pruski.

Ciekawe to bardzo dzieje, pouczające dla badaczów dawnej polityki polskiej, a dzisiaj już, wobec zmienionych z gruntu stosunków i obrotów koła fortuny, wydające się zaprawdę, odgłosem czasów niezmiernie chyba odległych, prawie bajecznych.

Dziwną bo zaprawdę jest rzeczą pomyśleć, że pierwsi skromni władzcy trzęsącego dziś światem całym państwa pruskiego, klękali niegdyś na bruku rynków krakowskiego i warszawskiego przed tronem królów, mających stolice w tych miastach; że przodkowie dzisiejszych kulturtregerów, niemczących dziedziny Piastów, niedopuszczających w Gnieznie i Poznaniu innego języka jak niemiecki, ulegali niegdyś rozkazom posłów ostatniego z Jagiellonów i z ich woli spadały w Królewcu pod mieczem katowskim głowy ministrów i doradców księcia pruskiego. Dawno to było wprawdzie, bardzo dawno, ale jednak nie tysiąc i nie ośmset lat temu, ale ze 300, a nawet od ostatniego hołdu elektora brandeburskiego, złożonego w Warszawie Władysławowi IV nie upłynęło jeszcze lat 250, a Kraków, Warszawa i Królewiec posiadają dziś jeszcze nieco murów i gmachów, które były świadkami powyżej wzmiankowanych wypadków. Niemniej jednak nie pozostało już nic z tych wypadków dziejowych oprócz wspomnień, upokarzających dla dumnych spadkobierców krzyżackich, a będących jedyną już dziś prawie pociechą dla tych, których hardzi kulturtregerowie uważają tylko za dzicz, upornie odtrącającą dobrodziejstwa cywilizacyi germańskiej, za resztki narodu bez wy-

([1]) Rodzaj bud skleconych z trzciny.

([2]) Ah, ah, o Boże! o nocy!

([3]) Gafir, rodzaj publicznego stróża.

robionego języka, bez historyi i literatury (tak dowodził niedawno jakiś profesor z Torunia)...

Część objaśnienia, jak przyjść mogło do tego wszystkiego — podaje nam właśnie ów ciekawy wstęp p. Pawińskiego. Część to najciekawsza i bodaj najważniejsza, gdyż podaje same początki, dzieje rozwoju pierwszych nasion potęgi brandebursko-pruskiej. Z jednej strony dobroduszna łagodność i hojność Jagiellonów, przykre okoliczności, w których pozostawali późniejsi królowie, nadto niedbalstwo klasy rządzącej i brak dalekowidzącej polityki; z drugiej strony—niezmienna wytrwałość i energia pierwszych książąt pruskich i późniejszych elektorów w dążeniu ku pozyskaniu coraz to większych praw, niezależności, potęgi i posiadłości, przy egoistycznem i wszechstronnem korzystaniu z przyjaznych okoliczności, bez przebierania w środkach. Wytrwała taka polityka musiała zaiste uwieńczyć się pomyślnym skutkiem, zwłaszcza wobec coraz to nieprzychylniejszych dla rzeczypospolitej okoliczności. Władzcy pruscy już w XVII, a nawet i w XVI wieku założyli podwaliny tej częstokroć machiawelskiej, a zawsze egoistycznej i na przemocy i podstępie opartej polityki, którą podziwiamy za dni naszych.

Autor kreśli dzieje tej polityki od samego jej początku — od świeżo przebranego z habitu krzyżackiego w płaszcz książęcy Albrechta. Już w pierwszym roku panowania ten książę, korzystając z dobrego serca Zygmunta I i z pokrewieństwa swego z tym królem (był jego siostrzeńcem) zaczął natrętnie dokuczać prośbami o coraz to większe prawa i takowe po większej części uzyskał, jak od tego króla tak i od jego następcy Zygmunta Augusta. Tylko prawa udziału w elekcyi królów książę pruski dobić się nie mógł; odmówiono mu także niektórych drobniejszych ustępstw, w czem nawet Zygmunt August okazał pewną stałość, większą niż dawniej ojciec. Głównej jednakże i najważniejszej rzeczy dobili się stopniowo książęta pruscy — przeniesienia prawa dziedziczenia na linią elektorów brandeburskich, przez co księstwo pruskie wciągnięte zostało w skład Rzeszy Niemieckiej i wzmocniło się na tej podstawie, oderwane już od Polski faktycznie, zanim traktat welawski za Jana Kazimierza (1656 r.) ostatecznie tego oderwania nie uświęcił, znosząc resztki zależności.

Przeniesienie prawa sukcesyi na linię elektorską potwierdził Zygmunt August już w 1563 r., ale p. P. usprawiedliwia postępek tego króla trudnemi okolicznościami, owczesną wojną inflancką, a po części finansowemi kłopotami króla, któremu, jak się domyśla, przyszedł może elektor z pomocą pieniężną. Umiał wszelako Zygmunt August wystąpić stanowczo i groźnie względem lennika, a stało się to mianowicie w kilka lat potem, w okoliczności, do której ściągają się właśnie zawarte w tomie niniejszym materyały historyczne.

Zgrzybiały ośmdziesięcioletni książę Albrecht I, zawsze jeszcze w królestwie rządzący, otoczył się przewrotnymi doradzcami i począł rządzić niesprawiedliwie, gwałcąc swobody i przywileje stanów pruskich, wypędzając zacniejszych obywateli, używając nawet zaciągniętych w Niemczech wojsk do przeprowadzenia swych gwałtów. Pomiędzy owymi doradzcami pierwsze miejsce zajmował niejaki Skalicz, awanturnik wątpliwego pochodzenia, w połowie dyplomata, a w połowie reformator religijny w duchu kalwińskim; towarzyszami jego w radzie książęcej byli Horst, Schnell i duchowny Funk. Skargi gnębionych przez tych doradzców obywateli pruskich doszły do króla, i Zygmunt August postanowił uporządkować sprawy pruskie. Wysłani w tym celu jako komisarze królewscy: Jan Kostka, Jan ze Służewa i Piotr Zborowski przybyli do Królewca 1566 r. Tu napotykali nieskończone trudności i odwłoki ze strony księcia i jego otoczenia, a chociaż sam Skalicz zawczasu zemknął, pozostali doradzcy podtrzymywali swój wpływ na zgrzybiałego księcia i usiłowali udaremnić interwencyą króla i rzeczypospolitej. Umieli jednak komisarze podtrzymać powagę własną i majestatu królewskiego i ostatecznie postawili na swojem. Księciu udzielono imieniem królewskiem napomnienie, wygnańcy przywróceni, stosunek księcia do sejmów uregulowany na teraz i na przyszłość, prawa i przywileje stanów obwarowano, nareszcie owych trzech radzców osądzono i ścięto. To ostatnie wywołało oburzenie u późniejszych historyków pruskich, wołających o krew przelaną; ale nasz autor dowodzi przekonywająco, że stało się to nie w interesie Polski, lecz dla dobra samych Prus i że owi doradzcy zostali przekonani nietylko o nadużycie władzy, ale także o zdradę przeciwko samemu księciu pruskiemu.

Umyślne zwłoki i tysiączne trudności stawiane posłom królewskim były przyczyną, że wszystkie sprawy nie dały się załatwić za jednym razem i ci sami komisarze (tylko że miejsce Zborowskiego zajął Jan Dymitr Solikowski) udali się jeszcze powtórnie do Królewca 1568 roku dla ukończenia swych prac. Jakie były skutki tych poselstw dla wewnętrznego ustroju księstwa pruskiego — podaje nasz autor obszernie i wszechstronnie, ale w tem już z jego pracy korzystać nie będziemy.

Takie były przyczyny, przebieg i zakończenie owego energicznego wmieszania się Polski do spraw wewnętrznych księstwa pruskiego — interwencyi w swoim rodzaju pierwszej i ostatniej.

*L. S. W.*

---

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ „Kuryer Poranny" podaje nader zajmującą wiadomość o młodym chłopcu, nazwiskiem Wawrzyniec Styk, synu włościanina z pod Grójca, który trawiony żądzą wiedzy, przed dwoma laty przybył do Warszawy, nie mając żadnych środków utrzymania. Umiał zaledwie czytać i pisać. Udało mu się zostać roznosicielem jednego z pism codziennych wieczornych; w następstwie czego miał sposobność poznać dwóch studentów uniwersytetu, którzy przekonawszy się że chłopczyna gorąco pragnie się uczyć, zajęli się jego nauczaniem. Dzięki tej ich szlachetnej pomocy i swojej wytrwałości i pracy, zdał egzamin do czwartej klasy gimnazyalnej. Obecnie uczęszcza do prywatnej szkoły pana Szmurły, ale obok tego nie przestał być roznosicielem, gdyż szczupłe wynagrodzenie jakie za to pobiera, stanowi jedyny jego sposób utrzymania. Opłata za naukę dość kosztuje, a prócz tego potrzebuje mieć na życie i jakiś przyodziewek — na co zarobek jego wystarczyć nie może. Rano chodzi do szkoły, wieczorem roznosi dziennik, tak więc biedny chłopiec w nocy tylko uczyć się może. Wpis za pierwszy kwartał zapłacili za niego dobroczynni ludzie; obiad dają mu rodzice jednego z kolegów, ale wszystko to nie zaspakaja wielu niezbędnych potrzeb chciwego nauki chłopca. Gdybyż można zapewnić pomoc dozwalającą mu zaprzestać roznosić gazetę, miałby więcej czasu do nauki, i stałby się może kiedyś nietylko nader pożytecznym członkiem ale może i chlubą swego społeczeństwa. O pomoc dla niego pukamy do serc Czytelniczek naszych.

+ Dla zasilenia funduszów swoich, Towarzystwo Dobroczynności urządza szereg odczytów w sali Ratuszowej, które odbyć się mają w przeciągu od 27 b. m. do 20 grudnia. Program zapowiada się świetnie. Profesor Łuszczkiewicz z Krakowa, mówić będzie o sztukach pięknych w Polsce. Główny współpracownik „Przeglądu Archeologicznego" p. Martynowski, w tymże samym przedmiocie przemawiać będzie. Dr. Brüner przyobiecał odczyt o magnetyzmie, z doświadczeniami. Znana poetka, p. Marya Konopnicka, ma mówić o poezyi. Znany podróżnik i przyrodnik, Bronisław Reichman, o swoich podróżach. Dr. Jędrzejewicz, znakomity popularyzator i miłośnik astronomii, o kometach i gwiazdach spadających. Pan Parczewski, adwokat z Kalisza, opiekujący się sprawą Serbów łużyckich, mówić będzie o nich, na podstawie własnych badań i spostrzeżeń. Nareszcie współpracownik „Biblioteki Warszawskiej" pan Matuszewski, o architekturze. Taki wybór przedmiotów i prelegentów powinien odczytom świetne zapewnić powodzenie, choćby nawet sam cel nie przemawiał za niemi.

+ Piękną ofiarą zasilony został fundusz kas rzemieślniczych. P. Stanisław Kronenberg złożył na ten cel 5,000 rs. w imieniu swojem jakoteż pań: Róży Kronenberg, Maryi z Kronenbergów hr. Karolowej Zamojskiej i Róży z Kronenbergów Orsetti, co dozwala otworzyć czwartą z kolei kasę pożyczkową. Gdybyż piękny ten czyn znalazł naśladowców!

+ Marszałek Zyblikiewicz przybył do Krakowa i zajął się gorliwie sprawą restauracyi zamku na Wawelu, który oglądał szczegółowo w towarzystwie architekty Pylińskiego, któremu wydział krajowy polecił zdjęcie planów zamku, w stanie w jakim się obecnie znajduje oraz w jakim był niegdyś, jakoteż szczegółowej sytuacyi budynku i otoczenia. Zdjęcie planów obecnego stanu łatwem było zadaniem, inna rzecz odtworzenie go takim jakim był dawniej, ponieważ skutkiem ciągłych przerabiań, prawie nie pozostało śladu dawnej, prawdziwie królewskiej ornamentyki. Ponieważ nie chodzi tu o nowe choćby najświetniejsze pomysły, ale o wierne odtworzenie tego co było, zatem dawny plan zamku jest niezbędnym, a do sporządzenia go potrzeba długich przygotowań i studyów, i niejeden szczegół raczej odgadywać niż kopiować. Najcenniejszych do tego materyałów dostarczają ryciny średniowieczne, rozrzucone po różnych zbiorach, przedstawiające szczegółowe części i wnętrza zamku, ale te są nader rzadkie. Gorliwe poszukiwania przedsięwzięte przez p. Pylińskiego tak w kraju jak zagranicą, nie odpowiedziały oczekiwaniom; najbogatszym materyałem do planów dawnego zamku, są inwentarze z lat 1725 i 1736, przechowane starannie w bibliotece p. Pawła Popiela w Krakowie. Za zezwoleniem władzy, p. Pryl. urządził sobie bióro na zamku, i tam pracuje gorliwie w gronie licznych pomocników.

+ Dnia 7 b. m. na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, hr. Engestrom odczytał: „Ustęp z historyi wyzwolonej Szwecyi, od roku 1520 do 1643." Zdaniem prelegenta, literatura szwedzka od Gustawa Wazy do Stjernhielma jest epoką odrodzenia i samoistnego rozwoju. Reformatorowie wiary stanęli na straży języka narodowego i byli też wówczas jedynymi prawie pisarzami. W chwi-

lach odrodzenia odrzucono duńszczyznę, ale germanizm rozwielmożniał się w najlepsze, obok powstającego wpływu francuzczyzny. Mimo tych obcych powiewów, zaczęło się przecież budzić coraz żywsze zajęcie się językiem szwedzkim, do czego dały pochop różne pisma religijne i tłomaczenie Biblii. Po roku 1600 zaczyna się rozwój poezyi szwedzkiej w trzech wyraźnych kierunkach: teologicznym, historycznym i dramatycznym.

Rozbierając szczegółowo te kierunki, hr. Eng wymienia z poetów teologicznych braci Petri z Orebro, znanych szwedzkich reformatorów. W kierunku historycznym pojawiły się same wierszowane kroniki. Mówiąc o królu Gustawie Wazie, przyznaje mu wielkie zasługi mianując go „rzeczywistym wskrzesicielem i ojcem Szwecyi" i wnioskuje że „Odprawa Andersona" jest jego utworem. Z kolei hr. Eng. odczytał wiersz króla, tchnący szlachetnem i wzniosłem uczuciem i odbijający w sobie szlachetne serce Gustawa Wazy. Dalej Daniel Hauson Huml napisał nader małej wartości kronikę „Eryka" będącą niejako historycznym paszkwilem na swego dawniejszego króla a później więźnia, Eryka XIV. Prelegent przedstawia Eryka jako człowieka zdolnego ale dziwaka. Napisał on kilka utworów poetycznych; w jednym z nich mówi o kochance swojej, Karinie, córce prostego żołnierza — ten prelegent odczytał w swoim przekładzie. Brat króla Eryka, Karol IX napisał rymowaną kronikę i zbiorek ulotnych wierszyków.

Przechodząc do dramatu, prelegent wymienia jako najstarszy zabytek średniowiecznego szwedzkiego „Samtal mellan Jul och Fasta" czyli Rozmowa pomiędzy Bożem Narodzeniem a Wielkanocą. Od roku 1500 cała dramaturgia szwedzka ma charakter dydaktyczny, a jedno z pierwszych miejsc zajmuje utwór nieznanego autora p. n. „Holofernis och Judiths Commedia." Pierwszy dramat szwedzki pojawił się na scenie szwedzkiej w roku 1610, autorem jego był pleban z Arbogi, Magnus Olans Asteropherus. Sceniczne utwory Jana Messeniusza osnute są na tle pieśni gminnych. Pierwsi rzeczywiści aktorzy przybyli do Szwecyi na początku XVII wieku; wtedy także pourządzano sceny w pałacach możnych panów i urządzano przedstawienia.

Od dawnych już czsów królowie szwedzcy zajmowali się piśmiennictwem narodowem i sami byli pisarzami i literatami. Zmarły król Karol zostawił zbiór rzewnych pełnych uczucia poezyi, a obecnie panujący Oskar pisze dramata i powieści.

+ W Boulogne-sur-Mer wzniesiono posąg Fryderykowi Sauvage, wynalazcy statków śrubowych. Jest to ostatni utwór rzeźbiarza Lafrance. Sauvage dostał pomieszania zmysłów i umarł w nędzy. W r. 1843 był w Hawrze uwięziony za długi, właśnie gdy w temże mieście inaugurowano pierwszy statek śrubowy, wobec komitetu uczonych, inżynierów, prefekta, znakomitych marynarzy i dostojników państwa. I nikt z obecnych ani pomyślał o wynalazcy, a w sprawozdaniu nie nadmieniono nawet jego nazwiska. Alfons Karr ogłosił w pismach tę smutną historyą i zaczął zbierać składki na wyswobodzenie więźnia-wynalazcy. Już to wogóle wielcy wynalazcy nie cieszyli się powodzeniem i pomyślnością, ale we Francyi szczególniej, nieszczęśliwą była dola wszystkich prawie, którzy pierwsi wykazali nieznaną siłę pary, wynaleźli nowe jej zastosowanie, lub też udoskonalili maszyny, które ona w ruch wprawia.

+ Francya nader gorliwie zajmuje się podniesieniem oświaty ludu. Towarzystwo oświaty ludowej założyło 640 bibliotek dla szkół i gmin, oraz 195 pułkowych i 71 bibliotek pedagogicznych. Nadto 1903 szkołom dostarczyło bezpłatnie środków pomocniczych do nauki, globów, map i obrazów do nauki poglądowej. Towarzystwo, liczy przeszło 50,000 członków.

+ P. Legoyt, b. naczelnik wydziału statystycznego we Francyi, wydał obecnie ważne i zajmujące dzieło „O samobójstwie w dawnych i obecnych czasach". Jest ono podzielone na dwie części: pierwsza traktuje o samobójstwie w starożytności, druga, daleko obszerniejsza, poświęcona jest badaniom samobójstw tegoczesnych.

W pierwszej części autor wylicza wszystkie główniejsze samobójstwa, upamiętnione na kartach historyi, i tłomaczy je moralnym stanem społeczeństw w łonie których miały miejsce. Badania nad przyczynami a szczególniej nad pojęciami i przekonaniami starożytnych co do prawa odbierania sobie życia, wykazują, że samobójstwo było potępione ale za złe nie poczytywane. I tak, stoicy nietylko nie potępiali ale nawet czcią otaczali samobójstwo, kiedy przeciwnie peripatetycy uważali je za największe przekroczenie praw boskich. Dalej autor bada i rozbiera oddziaływanie doktryn religijnych lub materyalistycznych na prawodawstwa różnych epok odnoszące się do samobójstwa, które jużto posuwały surowość aż do okrucieństwa, jużto prawie najzupełniej je tolerowały. We Francyi, dopiero 1789 r. przestało obowiązywać prawo orzekające konfiskatę majątku samobójcy, które dawało powód do najniecniejszego frymarczenia. W Anglii prawu temu nie odjęto mocy obowiązującej, ale nigdy prawie nie jest wykonywane. Nowy kodeks karny niemiecki zniósł karę grzebania samobójców w miejscach przeznaczonych na egzekucye zbrodniarzy. Ta pierwsza część dzieła jest owocem długiej i mozolnej pracy i dowodzi wielkiej erudycyi autora.

Druga część, traktująca o samobójstwie tegoczesnem, pełna jest faktów czerpanych ze źródeł urzędowych. Pan Legoyt wykazuje gwałtowne zwiększanie się liczby samobójstw i to w daleko większym stosunku niż przyrost ludności, i bada umiejętnie wszelkiego rodzaju wpływy, powstrzymujące lub potęgujące dążność do samobójstwa, starając się zarazem oznaczyć ich działalność. Ztąd przekonywa się, że dążność ta zmienia się odnośnie do płci, wieku, stanu cywilnego, kondycyi, miejsca zamieszkania, klimatu, rasy, *wyznania*, temperatury, stopnia oświaty, przeludnienia, jakoteż często powtarzających się wstrząśnień politycznych i ekonomicznych. Nie pomija także wpływów dziedziczności i chorób umysłowych. Nader ciekawy jest rozdział w którym autor rozpatruje szczegółowo wszelkie sposoby samobójstwa, spełnianego odnośnie do przytoczonych powyżej wpływów. W dwóch ostatnich artykułach rozbiera najpierw ogólne obecne powody samobójstwa w ich stosunku z obecnym moralnym stanem społeczności, następnie powody osobiste, indywidualne, a to zgodnie z urzędowemi statystycznemi wykazami. W drugim autor przedstawia środki, które, jak sądzi, mogłyby wpłynąć jeźli nie na wykorzenienie, to przynajmniej na zmniejszenie liczby samobójstw i powstrzymanie ich rozwoju. Dzieło to, wydane na dobie, ma wysoką wartość; może tylko za ponurym jest obraz i rozbiór moralnego stanu obecnych czasów; są rany i kalectwa, których lepiej nie wystawiać na jaw, bo widok ich budzi nader bolesne wrażenia i rozpaczliwe zniechęcenie.

## NOWE WYDAWNICTWA.

*Słownika geograficznego* królestwa Polskiego i krajów przyległych wyszło dotąd zeszytów 23, które z jednym jeszcze, w Grudniu mającym się ukazać, złożą dwa obszerne tomy, dochodzące do litery G a mianowicie do miasteczka Gruzdzie położonego w powiecie Szawelskim. Z chwilą ogłoszenia prospektu wystąpiliśmy z wielkiem uznaniem dla trzech redaktorów tak ważnej pracy, dla pp. Filipa Sulimierskiego, redaktora „Wędrowca" magistra nauk fizyczno-matematycznych: Bronisława Chlebowskiego, magistra nauk filologiczno-historycznych: i Władysława Walewskiego obywatela ziemskiego, kandydata nauk dyplomatycznych.

Dwuletnia praca młodych tych pracowników, uznanie to zupełnie usprawiedliwia. Pokazali, że na materyałach im nie zbywa, że umieją się krzątać około ich zgromadzenia, i że jak podjęli się wydawnictwa w poczuciu obowiązku obywatelskiego, tak spełniają go z sumienną gorliwością robiąc co do nich należy.

Prasa też peryodyczna jak i krytyka, wydawnictwo to „Słownika geograficznego" przyjęły bardzo przychylnie a publiczność przysporzyła znaczną liczbę prenumeratorów chociaż mogłaby ich jeszcze drugie tyle dostarczyć. Słownik ten to książka nie do użytku doraźnego, ale dzieło trwałej wartości, które w każdym domu znajdować się powinno. Encyklopedya powszechna Orgelbranda, z ceny pierwiastkowej kilkaset złotych wynoszącej, dziś doszła do 120 rubli i z trudnością spotkać się z nią można w handlu księgarskim. To samo dziać się kiedyś będzie ze Słownikiem geograficznym dlatego te słów kilka przypomnienia nie będą zbyteczne. Prenumerata bardzo ułatwiona: każdy prenumerator płaci z góry za dwa zeszyty rubla jednego, a później za każdy nowo wychodzący kop. 50. Z przesyłką zaś pocztową kop. 60.

Zeszyty wychodzą jak najregularniej co miesiąc: z końcem r. b. ukończone zostaną dwa tomy obejmująca w 24 zeszytach prawie dwa tysiące stronic drobnego pisma we dwie szpalty ułożonego. Każdy tom kosztuje rs. 6, w oprawie rs. 7, z przesyłką rs. 7 kop. 20, w oprawie rs. 8 kop. 20. Pośrednictwa w nabyciu redakcya nasza chętnie się podejmuje.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*Panu Moryanowi Gozdawa.* Tłomaczenie z włoskie ale tylko oryginalnych powieści może być przyjęte jeżeli wybór trafnie będzie zrobiony i przekład dobrze dokonany. Warunek jednak niezbędny, aby rękopism był czytelnie przygotowany, gdyż do napisanego tak jak list, żadan z redaktorów do czytania nie przystąpi.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i duży arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 11 Ноября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

**Dodatek.**

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 48 r. 1881.

# DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM I.

(Dalszy ciąg.)

Pan domu dopełnia tych samych formalności względem mężczyzn, przy czem popełnia pomyłki, wywołując następnie śmieszne sceny i ogólne zamieszanie.

Teraz w zamku panuje głębokie milczenie, które przerwie dopiero dźwięk gongu i odgłos dzwonków.

Szelest jedwabnych sukien zwiastuje zbliżanie się pań, które schodząc na obiad są wystawione na ciekawe spojrzenia pokojówek, czekających już na korytarzach aby je obejrzeć od stóp do głów. Ale przejdźmy już do salonu.

Pani w zielonym kostiumie weszła tam ostatnia. Czyni tak zawsze chcąc sprawić silniejsze wrażenie. Jej ukazanie się wywołuje uroczystą ciszę. Mężczyzni zwracają ku niej pełne zachwytu spojrzenia; z wyjątkiem jedynie kilku mężów, którzy marszczą brwi porównywając jej ubranie z ubraniem swych żon. — Kobiety krytykują surowo każdy szczegół jej stroju.

Podano obiad i wszyscy przechodzą do sali jadalnej. Niepodobna mi powiedzieć naprzód jaki obiorą przedmiot do rozmowy, ale z pewnością mówić będą same oklepane już rzeczy, lub opowiadać jakiś wypadek dobrze już wszystkim znany.

Prawdopodobnie, wśród zaproszonych znajdzie się jakaś pani, zostająca jeszcze pod wrażeniem zabawy lub polowania na którem niedawno była obecną, a która będzie opisywać jego świetność z największym zapałem, często w tym jedynie celu, aby nasunąć gospodarzom domu myśl niepokojącą, czy też i od nich goście wyjadą równie zadowolnieni.

— Przy tej sposobności muszę uprzedzić pana, panie Seaforth, że osoby zaliczające się do tak zwanego dobrego towarzystwa, są niekiedy pod tym względem bardzo złośliwe i niesprawiedliwe. Mnie samą, jakkolwiek już przywykłam do tego, oburza zawsze taki brak względności dla osób które starają się sprawić nam przyjemność.

Po obiedzie, panie jak zwykle wracają same do salonu i zabawiają się rozmową. Następnie nadchodzą mężczyzni i proponują różne rodzaje zabawy, ale w ogóle pierwszy wieczór przechodzi dość nudnie, ponieważ mało lub całkiem nieznane sobie osoby składające towarzystwo, nie miały jeszcze czasu oswoić się z sobą. Z tego też powodu wszyscy rozchodzą się wcześnie.

Nazajutrz, już od świtu panuje zgiełk i zamieszanie, i trwa dopóki mężczyzni nie udadzą się na polowanie. W czasie ich niebytności kobiety zajmują się robótkami, rozmową, lub piszą listy.

Myśliwi wracają wieczorem zmęczeni i zabłoceni. Całe towarzystwo zbiera się znów razem na herbatę, po której każdy udaje się do siebie.

W bardzo wielu domach jest także godzina wyłącznie *poświęcona dla dzieci*, ale szczęściem, tu nie potrzebujemy się obawiać tej przykrości.

Przyznaję, że nie czuję zbyt wielkiego pociągu do tych istotek, mówiąc między nami, nieszczególnie wychowywanych obecnie. Staram się zawsze wyjść z salonu przed ich przybyciem, ale że się to nie zawsze uda, mogę opisać z własnego doświadczenia tę ciężką próbę cierpliwości dla starszych osób.

Szmer różnych głosów zapowiada przybycie dzieci, i natychmiast znikają wszyscy nie życzący sobie być obecnymi przy ich zabawie.

Otwierają się podwoje, jakby przez nie wejść miała jakaś znakomitość, i wbiegają śliczne istotki, z rozpuszczonemi włoskami i postrojone jak laleczki. Wita je na progu okrzyk zachwycenia, i wszyscy zaczynają tak opsypywać pocałunkami biedne dzieci, że o mało ich nie uduszą. Wkrótce panuje w pokoju najstraszniejszy nieład. Wydobyto z szafy arkę Noego, i ktoś z towarzystwa przez grzeczność zaczyna się bawić z dziećmi, klęka wśród nich, i naśladuje głos zwierząt które wyjmuje z arki. Najczęściej jednak usłużność ta okazuje się zbyteczną, gdyż po chwili dzieci przynęcone jakąś inną rozrywką, pozostawią zabawiającą je osobę samą na środku pokoju.

Nakoniec rozlega się uderzenie gongu, dzieci odchodzą, i każdy śpieszy się zmienić toaletę.

Przy obiedzie głównym przedmiotem rozmowy będą prawdopodobnie najdrobniejsze szczegóły polowania, brak zwierzyny i ryb w Londynie, lub nakoniec osoby które mają przybyć jeszcze. Jedyny wyjątek stanowi tu młody człowiek, zajęty wyłącznie rozmową ze swą młodziutką i ładną narzeczoną czy też tylko sąsiadką, co bardzo gniewa elegantkę, któraby chciała aby tylko na nią zwracano uwagę.

Nie będę panu opisywać zabaw wieczornych, gdyż te zależą od zwyczajów przyjętych w domu, i usposobienia zebranych tam osób.

Zbliżył się nakoniec dzień wyjazdu, i panie ukazują się znowu w swych podróżnych ubraniach. Elegantka równie strojna jak zawsze, śpieszy olśniewać oczy swemi toaletami w jakimś innym pałacu, gdzie spodziewa się zdobywać nowe hołdy i pochwały.

Towarzystwo króre traf połączył na kilka dni, rozpierzcha się znów w różne strony. Ci którzy pozostają jeszcze, czują się prawie osamotnieni w tym wielkim pałacu prawie teraz pustym.

Codzień ubywa gości, a stół w sali jadalnej kurczy się widocznie, gospodarz domu zaczyna już sam krajać pieczyste, a nakoniec pozostają same tylko domowe osoby. Jednocześnie rozmowa staje się poufalszą, ale niestety! zwykle niezbyt korzystną dla nieobecnych; wszelkie ich wady będą starannie roztrząsane, i w końcu dowiesz się że wszystkie te osoby były nudne i mniej więcej nieprzyjemne, a co więcej, przekonasz się z największem zadziwieniem, że ich obecność była bardzo uciążliwą dla mieszkańców pałacu, nie starających się nawet tak bardzo ukrywać zadowolenia że się nakoniec pozbyli tak uciążliwych gości.

Każdy czyni jakieś uwagi i spostrzeżenia nie zgadzające się bynajmniej z nakazaną nam miłością bliźniego, z czego w końcu trzeba wyprowadzić wniosek, że wstydzi się iż mógł znaleźć jakąś przyjemność w towarzystwie osoby tak niemiłej lub tak ograniczonej według jego mniemania. — Słuchając tych lekkomyślnych sądów świata przychodzimy nakoniec do przekonania, że mało w nim znajduje się osób prawdziwie dobrych i szczerych, i że nie ma nic trudniejszego nad pozyskanie prawdziwych przyjaciół. Ale dość już mówiłam o tym przedmiocie, a stryjenka pana daje nam znak że już czas się rozejść, żegnam więc pana do jutra i życzę spokojnej nocy.

## XXVI.

### Melodye Moore'a

Cały ten tydzień był ciężkim do przebycia dla lady Seaforth, którą spotykały co raz nowe przykrości. Oburzało ją to że mąż starał się zawsze stawiać Godfreda na pierwszem miejscu, że przedstawiał go z widoczną dumą, osobno każdemu ze swych gości; słowem całe jego postępowanie z synowcem drażniło ją niewymownie. Gniew jej wzmógł się jeszcze gdy spostrzegła że wszyscy obsypywali Godfreda dowodami uprzedzającej grzeczności, i że on przyjmował to spokojnie, naturalnie, i nie zdawał się przywiązywać zbyt wielkiej wagi do pochwał których mu nie szczędzono.

Wszystko w nim zapowiadało prawdziwego gentlemana; dla wszystkich grzeczny, uprzejmy, nienarzucający się nikomu, wolny od wszelkiej zarozumiałości, musiał podobać się każdemu.

Lord Seaforth sam teraz zachęcał synowca aby po obiedzie pozostawał w salonie, a było to z jego strony prawdziwe poświęcenie, gdyż obecność Godfreda stała się niezbędną do jego szczęścia.

Pewnego wieczora, gdy całe towarzystwo było razem zebrane, proszono młodej i ładnej pani Midmay, aby coś zaśpiewała. Wstała i zbliżyła się do fortepianu.

Godfred udał się tam natychmiast za nią, opuszczając lady Alicyę z którą dotąd rozmawiał, czyli raczej której słuchał dotąd uważnie, jak to czynił zwykle.

— Czy pan lubi muzykę? zapytała go pani Midmay.

— Bardzo, odpowiedział z żywością.

Skoro skończyła śpiewać, Godfred zaczął z nią mówić o jakiejś melodyi niemieckiej, jak mówiła, dobrze jej znanej, lecz której nie śpiewała gdyż nie była stosowną do jej głosu.

— Może pan słyszał panią Seaton, która śpiewa ją zachwycająco? zapytała pani Midmay.

— Nie, pani, ale matka moja śpiewała to często.

— O! to może i pan śpiewa także, i mógłby zaśpiewać nam ten romans, lub też coś innego.

— Rzeczywiście, śpiewam trochę, lecz totąd nie miałem innych słuchaczów prócz matki i siostr mojich.

— O! niech pan tylko sprobuje, powiedziała z żywością pani Midmay, a potem zawołała zwracając się do towarzystwa: Pan Seaforth śpiewa! i natychmiast wszystkie panie zaczęły prosić Godfreda aby im nie odmawiał tej przyjemności, od czego on jednak wymawiał się grzecznie.

Ale pani Midmay lubiła przezwyciężać trudności, zwróciła się więc z prośbą do lady Seaforth, aby używając swego wpływu, przezwyciężyła opór synowca.

Co prawda, to niespodziewane odwołanie się do

niej, zmięszało trochę lady Helenę, nie chcąc jednak zdradzić swych rzeczywistych uczuć, odezwała się zimno ale grzecznie:

— Sprawisz pan nam wszystkim prawdziwą przyjemność, jeźli coś zaśpiewasz.

Pierwszy to raz od jego przyjazdu lady Seaforth przemówiła do niego, i Godfred nie chcąc jej odmawiać, oraz ulegając prośbom całego towarzystwa, zapytał pani Midmay czy znane jej są melodye Moore'a. — Ponieważ, dodał nieśmiało, nie znam wcale nowszych utworów i umiem tylko te które śpiewała moja matka.

— Melodye Moore'a są zachwycające, zawołała, znam je wszystkie i umiem na pamięć akompaniamenta. Potrzebuję tylko wiedzieć którą pan chce zaśpiewać.

Godfred wskazał jedną z najpiękniejszych, pani Midmay uderzyła kilka akordów, i usłyszano cudowną melodyę, wyśpiewaną głosem czystym, dzwięcznym i z głębokiem uczuciem.

W miarę jak Godfred spiewał, ustawały najcichsze nawet rozmowy, a wzmagało się ogólne wzruszenie. Lady Seaforth usiadła w przeciwnym rogu salonu, z silnem postanowieniem nie zwracania uwagi na śpiew synowca męża, a pomimo to czuła że ta smętna nóta oddziaływa na nią i pogrąża ją w najsmutniejszych myślach.

Wkrótce zatopiona w głębokiem zamyśleniu, straciła zupełnie świadomość o tem co ją otaczało, i zdawało jej się że się znajduje w przyległym pokoju, i widzi przed sobą poważną i milczącą postać człowieka z piękną, prawdziwie męzką twarzą. Ciche łkanie odezwało się w jej piersiach i łzy pojawiające się tak rzadko w jej oczach, zwilżyły je teraz. Otarła je śpiesznie i spojrzała prędko dokoła, chcąc się przekonać czy ktoś z obecnych nie był świadkiem tej oznaki słabości, tak upokarzającej dla jej dumy.

Jakże się zadziwiła gdy ujrzała że mąż jej stoi przy drzwiach na pół ukryty za portierą. Tak, to jej mąż, który już przez tyle lat nie ukazywał się w salonie, stoi teraz o kilka kroków od fortepianu, nieruchomy jak posąg, zasłuchany i zdający się zostawać pod wpływem jakiejś halucynacyi. W spojrzeniu jego było coś błędnego, i zdawał się nieczułym na to co go otaczało; jednocześnie twarz jego przybrała jakiś niezwykły sobie wyraz słodyczy, a lady Seaforth zdawało się nawet że widzi łzy w jego oczach. W końcu oczarowany tą cudną melodyą, wyciągnął z lekkim krzykiem ręce, jakby chciał ująć w swe objęcia jakieś drogie mu widmo, unoszące się przed jego oczyma.

Nigdy jeszcze lady Seaforth nie widziała męża w podobnym stanie, wpatrywała się też w niego uważnie, jakby pragnęła aby twarz jego wyryła się w jej pamięci z tym wyrazem tak pięknym i dziwnym zarazem, ale ten wyraz ustępował w miarę jak ucichały dźwięki muzyki, a w końcu znikł wraz z niemi.

Skoro Godfred przestał śpiewać, podziękowano mu pełnemi zapału oklaskami. Lady Seaforth starała się otrząsnąć z doznanych wrażeń, i doznała prawdziwej ulgi, gdy przekonała się że mąż jej nie znajdował się już na zajmowanem poprzednio miejscu. Chcąc zapobiedz aby coś podobnego nie powtórzyło się znowu, gdyby Godfred ulegając naleganiom zaczął śpiewać powtórnie, namówiła wszystkich aby przeszli do sali bilardowej.

## XXVII.

### Spotkanie.

Godfred wzruszony silnie wspomnieniami rodzinnego domu, które wzbudziła w nim tak dobrze mu znana nóta, oddzielił się nieznacznie od towarzystwa i udał się do galeryi obrazów, aby tam mógł swobodnie oddać się swym myślom.

Jakże się zadziwił widząc że jego życzenia tak długo nadaremne, miały się teraz spełnić, że miał pochwycić nakoniec małe widmo wymykające mu się tak długo. Tak, nie omylił się, spotkał tam rzeczywiście śliczną dziewczynkę z czarnemi oczyma i rozpuszczonemi włosami; trzymała w rączce lampkę, i stojąc przed wielkim portretem, przemawiała do niego jeszcze żałośniejszym głosem niż dawniej. Godfred słuchał z prawdziwym smutkiem gdy opowiadała swemu zwykłemu powiernikowi, że od czasu przybycia jej kuzyna, troski jej wzmagały się ciągle, w miarę wzrastającej z każdym dniem prawie niechęci jej matki.

— Powiedz! jakim sposobem mogłam zapobiedz temu? Czy to było w mej mocy? — wołała biedna Joasia z płaczem, i wpatrując się w obraz jakby go chciała zmusić do odpowiedzi.

Ale portret tego wieczora nie wywierał jak widać zwykłego uroku, gdyż czynione mu zwierzenia nie przynosiły ulgi dziewczynce, przeciwnie, boleść jej zdawała się zwiększać ciągle.

Godfred zbliżył się do niej w chwili gdy ukryła w dłoniach zalaną łzami twarzyczkę, i zawołał na nią po imieniu.

— Kto tu mówi? krzyknęła przestraszona. Kto zawołał: „Joasiu?"

Godfred zbliżył się wtenczas ku niej, lecz zaledwie go spostrzegła, odwróciła się i chciała uciec. Zatrzymał ją za rączkę i przyciągając łagodnie do siebie, prosił aby go się nie bała, i starał się ją uspokoić przemawiając do niej z taką czułością jak gdyby była jego siostrą.

— Nie lękaj się mnie! Uspokój się Joasiu, powtarzał łagodnie.

— Kto pan jesteś, zawołała nakoniec drżącym głosem, nie śmiejąc podnieść oczu. Jak się nazywasz?

— Jestem Godfred Seaforth, twój kuzyn, i pragnę gorąco zostać twym przyjacielem, odpowiedział.

— O! zawołała załamując ręce, i słyszałeś co mówiłam?

— Nie było w tem nic złego, zaręczam ci, odezwał się znów łagodnie, i możesz być równie spokojną jak gdybym był tylko tym martwym i niemym portretem, do którego przemawiałaś przed chwilą.

Nie uspokoiło to jeszcze zupełnie Joasi, która drżała lekko, zarazem zdziwiona i przestraszona. Jednak nie starała się już uciec, i rzucając na Godfreda lękliwe spojrzenie, przekonała się że ta twarz smętna i szlachetna nie była już dla niej obcą.

— A! zawołała, ja cię już widziałam dawniej, przypominam sobie twoje rysy!

Potem zwróciła się nagle do portretu i spoglądała kolejno to na niego to na Godfreda.

— Tak, jesteś żyjącym portretem! spojrzyj tylko, dodała wskazując ręką portret wiszący naprzeciwko nich.

Godfred podniósł oczy i z łatwością poznał rysy swoje w rysach swego prapradziada; zdawało się że malarz jego chciał przedstawić. Może dla tego właśnie obraz utracił nagle siłę magiczną którą dotąd pociągał ku sobie dziewczynkę; odwróciła się z żywością do Godfreda, którego oczy wyrażały tak szczere dla niej współczucie.

— Godfredzie! Godfredzie! zawołała wyciągając do niego ręce, jakby błagała go o jakąś łaskę, której ulubiony portret nie mógł jej udzielić.

— Biedne dziecię! Biedna Joasiu, szepnął wzruszony Godfred.

— O! powtórz to raz jeszcze, prosiła dziewczynka. Nazwij mnie raz jeszcze biedną Joasią!

— Biedna moja Joasiu! powtórzył pieszczotliwie. Jakże mi szczerze żal ciebie!

— Nikt dotąd nie użalił się nade mną, i nikt mnie nie nazwał swoją biedną Joasią, rzekła, zalewając się znów łzami.

Godfred pochylił się wtenczas ku niej i pełnym słodyczy głosem pocieszał ją i zapewniał o swej szczerej przychylności. Rzeczywiście powziął niezmienne postanowienie, że od tej chwili uczyni wszystko co będzie w jego mocy, dla złagodzenia smutku Joasi i ukojenia jej cierpień których był mimowolną przyczyną. Chcąc oderwać myśl Joasi od dręczącej ją troski, opisał jej swoje własne, i skreślił w krótkości dzieje swego życia. Zapomniał że mówi do dziecka, i odkrywał jej uczucia które dotąd tail przed wszystkimi. Jakkolwiek podobne wyznania nie były zastosowane do pojęcia dziecka, Joasia zrozumiała je dokładnie. Boleść, żal, tysiączne udręczenia,—wszakże, niestety! ona doświadczała ich także; dla tego też każde słowo Godfreda odbijało się jak echo w jej sercu!

Spojrzała instynktownie na portret i pierwszy raz dopiero wydał jej się zimnym i martwym, zwróciła też natychmiast oczy na Godfreda i znów zalała się łzami.

Biedne dziecko! marzenia twoje rozpierzchły się w jednej chwili! To co dotąd było przedmiotem twego uwielbienia, straciło teraz cały swój urok; przed kim użalisz się teraz, komu powierzać będziesz swoje cierpienia?

— Czy zawsze byłaś tak nieszczęśliwą i opuszczoną? zapytał Godfred.

— Tak, zawsze; nikt się nie troszczy o mnie, i nikt mnie nie kocha!

— Odtąd już tak nie będzie, rzekł Godfred. Będziesz moją siostrą, ja cię kochać i czuwać nad tobą będę.

Joasia zwróciła na kuzyna pełne wdzięczności spojrzenie, i patrząc na jego twarz szlachetną, czuła że nie umiałby kłamać. Nie będzie więc już nadal tak samotną i zaniedbaną jak dotąd.

Godfred hrabia Seaforth, zdawał się spoglądać z rozczuleniem z głębi swych ram, na te dwie istoty zawierające z sobą wieczyste przymierze.

— Dotąd jego uważałam za brata, rzekła Joasia wskazując na portret, ale teraz ty będziesz moim prawdziwym bratem, dodała zwracając się do kuzyna. Godfred pocałował ją w czoło i przyrzekł że zawsze będzie czuwać nad nią i starać się o jej szczęście. Joasia czuła że chmury zasępiające jej życie już się rozpierzchły, i że dla niej także zabłysną dni pogodne.

## TOM II.

## I.

### Jeszcze lady Alicya.

— Cóż, panie Seaforth, czy panu skreśliłam wiernie obraz naszego towarzystwa? zapytała pewnego wieczora lady Alicya.

— Tak, odpowiedział Godfred, wszystko odbyło się mniej więcej tak jak pani przepowiedziała; tylko co do obmowy nie ziściły się słowa pani.

— O! zawołała lady Alicya, sama obecność lorda

Seaforth odbiera ochotę do złośliwych uwag i plotek. — Ale poznał już pan poczęści *towarzystwo*, i ciekawa jestem jakie też pan powziął o niem zdanie.

— Muszę wyznać, że spotkałem w niem osoby przyjemniejsze niż się tego spodziewałem wnosząc z opisu pani. Według tego co słyszałem od pani, towarzystwo, a zwłaszcza wiejskie, składa się z ludzi nieprzyjemnych, pysznych, samolubnych, fałszywych, a co najmniej nudnych; co do mnie, widziałem tu osoby nie zasługujące bynajmniej na podobne zarzuty.

— Przyznaj pan jednak, odpowiedziała uszczypliwa lady, że znajdowały się tu osoby odmalowane przeze mnie wiernie i bez przesady. Czy naprzykład ta próżna i płocha pani Ambyon, nie jest zupełnie podobną do owej elegantki w zielonym kostiumie którą panu opisałam?

— Nie przeczę że wśród zgromadzonych tu osób znajdowały się śmieszne i niemiłe, ale były też między nimi bardzo sympatyczne.

— A! co pan chce, odpowiedziała z żywością lady Alicya, opisywałam panu towarzystwo tak jak mi się ono przedstawia powierzchownie, nie zapamiętywałam się nigdy na nie inaczej, i powzięłam nieszczególne wyobrażenie o naturze ludzkiej wogóle. Według mnie, życie ludzkie jest nazbyt krotkie, aby go trwonić na jakieś filozoficzne poszukiwania. Ale może pan zechce teraz podzielić się ze mną swemi spostrzeżeniami — Powiedz mi pan co cię najwięcej uderzyło lub zajęło?

W pierwszej chwili, Godfred nie miał ochoty spełnić tego żądania, lecz w końcu ulegając naleganiu lady Alicyi, opisał jej swe wrażenia w obec tak urozmaiconego widoku i w zetknięciu się z tak różnorodnemi charakterami. Lady Alicya zadziwiła się widząc że nawet drobne szczegóły nie uszły uwagi Godfreda, a jego zdrowy sąd o wszystkiem nasunął jej myśl że jej zdanie o ludziach było zbyt powierzchowne i nierozważne. Przypomniała sobie wtenczas zdanie pewnego autora: że jakkolwiek życie zdaje się na pierwszy rzut czczem i prozaicznem, to jednak nawet w najdrobniejszych jego szczegółach panuje prawdziwa harmonia. Najwybitniejszą nótą w tym ogólnym koncercie, jest poważna i uroczysta nóta smutku, która z początku daje się słyszeć tylko niekiedy, a w końcu zagłusza wszystkie inne.

— A! zawołała, jakże to piękna rzecz być obdarzonym tak świeżą i żywą wyobraźnią jak twoja, panie Seaforth! Co do mnie, zaczynam nabierać przekonania że nie mam wcale serca; pomimo to nie wiem czy ci mam zazdrościć, bo jeźli będziesz brać zawsze tak żywy udział w troskach otaczających cię osób, staniesz się wkrótce starszym ode mnie o dziesięć lat przynajmniej, a jednak, jednak... Zatrzymała się i nie dokończyła swej myśli.

Lady Seaforth rozgniewana że jej przyjaciółka okazywała tyle grzeczności Godfredowi, odwołała ją pod jakimś pozorem, i przez cały wieczór nie miał już sposobności zbliżenia się do lady Alicyi, która nazajutrz opuściła Seaforth.

W następnym tygodniu przybył zapowiedziany przez lorda Seaforth nauczyciel, który widząc że Godfred tak chętnie korzysta z wykładanych mu nauk, powziął wysokie wyobrażenie o jego zdolnościach i przepowiadał mu najswietniejszą przyszłość.

Lord Seaforth śledził chciwie postępy synowca, i z każdym dniem kochał go więcej. Radość błyszczała w jego oczach, skoro tylko usłyszał jego kroki w przedpokoju. Pragnął gorąco aby synowiec spędzał obok niego wszystkie wolne chwile, ale nie chciał go zmuszać do tego; czuł że powinien przedewszystkiem pozyskać przywiązanie Godfreda, który pomimo usiłowań jego, był zawsze równie chłodnym i zamkniętym w sobie.

## II.

## Godfred i Joasia.

Godfred znalazł teraz nowe zajęcie i nowy cel życia; i gdy lord Seaforth ubolewał nad jego długą nieobecnością i zadawał sobie niespokojnie pytanie gdzie przepędzał wolne od nauki chwile, on siedział spokojnie obok Joasi w galeryi obrazów.

Nie brakło im nigdy przedmiotu do rozmowy; zastanawiali się naprzykład często nad tem że tak jednakowy los dostał im się w udziale, i wtenczas podając sobie ręce przyrzekli że nigdy i w żadnym razie nie będą czuć do siebie niechęci ani też zawiści. Sądząc z pozorów, zdawałoby się że mogą żywić względem siebie tylko nieprzyjazne uczucia, a rzeczywiście byli najlepszymi przyjaciółmi w świecie.

— Nie mogło być inaczej, powtarzała Joasia.

Szczęśliwa Joasia! możemy teraz powiedzieć śmiało, bo w sercu jej nie ma już gorzkiego żalu i oburzenia, które budziło w niej niesprawiedliwe z nią postępowanie; miejsce jego zajęła wdzięczność i tkliwe przywiązanie, a dusza jej rozweseliła się i wypogodziła pod wpływem tych uczuć, które były dla niej jakby jutrzenką nowego życia.

— Ah! Godfredzie! powtarzała często, jakież to szczęście dla mnie że cię poznałam! Gdyby nie ty mogłabym stać się złą, bardzo złą! — A ja, odpowiadał Godfred, czułbym się tu bez ciebie bardzo samotnym, jakby od wszystkich opuszczonym.

Joasia umiała być wdzięczną Godfredowi za dowody przywiązania któremi obsypywał ją ciągle, i zdolna była do największych poświęceń, byle uchronić go od smutku lub lekkiej nawet przykrości. Wszakże to tak miło przyczynić się do szczęścia ukochanej osoby!

Jednak nie tylko w galeryi obrazów rozmawiali z sobą; Joasia spotykała często kuzyna przechodzącego się w ogrodzie z książką w ręku. Pewnego dnia, Godfred spostrzegł Joasię siedzącą na trawniku przy stawie, i obrywającą listki stokrotki. Przypomniało mu to jego ukochane siostrzyczki, i zaczął mówić z dziewczynką o Esterze, Oliwii i Wenecyi i opisywać jej swoje wspolne z niemi zabawy.

W miarę jak wywoływał te wspomnienia, smutek pokrywał jego czoło i z westchnieniem zadawał sobie pytanie: czy może mieć nadzieję zobaczenia ich wkrótce. Joasia spostrzegła natychmiast tę zmianę na jego twarzy, i biorąc go za rękę zwróciła na niego pełne współczucia spojrzenie. Jednocześnie twarzyczka jej przybrała tak smętny i poważny wyraz, że zdziwiony tem Godfred zmusił się do uśmiechu, a chcąc ją rozerwać, opowiedział jej jakiego zmartwienia doznała pewnego dnia najmłodsza jego siostrzyczka, Wenecya, gdy stokrotki nie chciały jej dać zadawalniającej odpowiedzi, na pytanie „Czy Godfred mnie kocha?” i oświadczyła nakoniec że i kwiatki kłamią. — Powiedz że mi Joasiu, czy i twoje stokrotki mijają się czasem z prawdą?

— Nie, odpowiedziała, w Seaforth kwiatki zawsze mówią prawdę. Zaraz się przekonasz; zapytam się jak Joasia kocha Godfreda, i zobaczysz że się nie omyli. Zerwała stokrotkę i zaczęła się pytać obrywając listek po listku. — No i cóż odpowiedziała? zapytał; zapewnie, że Joasia kocha trochę Godfreda? — Nie, odpowiedziała dziewczynka, gdyż w takim razie nie mówiłaby prawdy. A więc jakąż dała odpowiedź? zapytał znowu.

— Powiedziała że kocham cię z całego serca, z całej duszy; i tak jest rzeczywiście, dodała, zwracając na niego swe śliczne czarne oczy z wyrazem najżywszej wdzięczności.

— Czy naprawdę, Joasiu? zapytał Godfred. Czuję że nie zasłużyłem na to.

— Teraz, odezwała się znów Joasia, zapytam jeszcze stokrotki jak mnie Godfred kocha; i obrywając listeczki, mówiła: Trochę, bardzo, z całej duszy. — Trochę, odpowiedział ostatni listek.

— Zapytaj się jeszcze raz, rzekł Godfred.

— Nie, Godfredzie, wolę abyś sam zapytał, powiedziała, podając mu stokrotkę, która jemu także odpowiedziała: Trochę.

Zasmucona Joasia rzuciła resztę kwiatków na ziemię.

— Widać że stokrotki kłamią tak samo w Seaforth, jak w Nicei, odezwał się Godfred.

Mówiąc to zapuścił wzrok w przestrzeń, jakby spodziewał się ujrzeć gdzieś w dali ozłocone gorącemi promieniami słońca winnice, oliwne gaje, a wśród nich drogie sobie osoby.

— Czy tak bardzo pragniesz wrócić do swoich? zapytała Joasia.

Dźwięk jej głosu przerwał jego marzenia. Spojrzał na pełną słodyczy i smętną twarzyczkę Joasi, i powstrzymał nasuwającą mu się na usta odpowiedź, która musiałaby ją dotknąć boleśnie. Czuł że nie powinien opuścić biednej dziewczynki.

— Tak, wróciłbym tam chętnie, odpowiedział, gdybym mógł zabrać cię z sobą.

— A tego nie możesz uczynić, rzekła Joanna, wpatrując się w niego, jakby chciała przenikać najtajemniejsze jego myśli.

— Rzeczywiście; niepodobna nawet myśléć o tem, odpowiedział; dla tego też pozostaniemy tu oboje.

Joanna westchnęła, i oboje zamilkli na chwilę.

— Nie mogłabym żyć bez ciebie, Godfredzie, zawołała nagle Joasia: czuję że umarłabym gdybyś ztąd odjechał.

— Cicho! Joasiu, rzekł z żywością Godfred, nie wolno tak mówić. Nie mów tego nigdy!

Smutek Joasi sprawiał zawsze na Godfredzie przykre wrażenie; wyrzucał sobie często, że i on także, wprawdzie mimowolnie, przyłożył się wiele do jej nieszczęścia.

Często jednak rozmawiali z sobą swobodnie i wesoło, nie dotykając przykrych przedmiotów rozmowy. Godfred lubił mówić z Joasią o tym dniu szczęśliwym, w którym pozna jego matkę i siostry. Kiedy i jakim sposobem stać się to miało, na to zapewnie sam nie umiałby odpowiedzieć, ale zawsze z najżywszą przyjemnością przenosił się myślą w tę wymarzoną przez siebie przyszłość, i roztaczał przed oczyma Joasi jej świetne obrazy.

Niekiedy mówił z nią także o swych nadziejach, pragnieniach i zamiarach dotyczących jego przyszłości. Nauki otwierały przed nim codzień nowe zródło rozkoszy, a w sercu jego zaczynała się budzić żądza odznaczenia się i sławy. W końcu Joasia stała się powiernicą jego myśli i czas upływał im szybko na poufnej i zajmującej rozmowie. Godfred w towarzystwie Joasi pozbywał się zwykłego mu chłodu i sztywności, ona zaś słuchała, z oczami błyszczącemi dumą i radością, każdego słowa kuzyna.

Jakież to błogie były dla nich chwile! Jak obfite żniwo miłych wspomnień miały dostarczyć im na przyszłość!

Jednak ich charaktry różniły się pod tym względem, że gdy Godfred zatapiał się zupełnie w te-

raźniejszości, Joasia, której uczucia długo były tłumione, myślała z pewną obawą o przyszłości, i czuła w sobie tę iskierkę Bozkiego ognia, który miał następnie przeniknąć całą jej istotę.

Joanna była jeszcze dzieckiem, kochającem z naiwną ufnością właściwą w tym wieku, ale posiadała charakter namiętny, a wszelkie wrażenia pozostawiały w jej sercu niezatarte ślady. To jej ciche i dziecinne uczucie rozwinie się z czasem w tkliwsze i poważniejsze, które potrafi się oprzéć wpływowi czasu, rozłączenia, potwarzy, a nawet śmierci.

### III.

### Postępowanie lady Seaforth.

Jednocześnie z każdym dniem wzrastała nienawiść lady Seaforth do Godfreda. Od tego dnia w którym śpiewał w salonie, zaszła widoczna zmiana w usposobieniu i obejściu jego stryja, i każdy mógł poznać łatwo że lord Seaforth nie jest już tym samym człowiekiem co dawniej. Zdawał się nie widziéć nikogo prócz synowca, śledził każdą zmianę na jego twarzy, słuchał chciwie każdego jego słowa. Badał starannie jakie wrażenie Godfred sprawia na obcych, i nie ukrywał wcale swego przywiązania do niego. W końcu przyszło do tego że zapomniał o wszystkich otaczających go osobach, skoro tylko posłyszał ten głos świeży i dźwięczny, który żona jego tak znienawidziła. Lady Seaforth była oburzoną, że dopiero pod wpływem Godfreda rozbudziły się w sercu jej męża silne i głębokie uczucia, których ona nigdy nie mogła wywołać. — Tak, ten chłopiec pozyskał nad nim jakąś czarodziejską władzę, którą napróżno pragnęła zdobyć. W dumnem jej sercu zrodziło się wtenczas gorące pragnienie poniżenia Godfreda w oczach stryja, ale postępowanie synowca było tak nienaganne, że wszelkie jej usiłowania były daremne; unikał szczęśliwie wszelkich zasadzek stawianych mu przez stryjenkę, której gniew doszedł do najwyższego stopnia, skoro się dowiedziała że Godfred był synem kobiety, która była przedmiotem pierwszej i gorącej miłości jej męża. Już to silne wrażenie jakie na nim sprawił śpiew Godfreda, kazało jej się domyślać że rozbudził jakieś dawne jego wspomnienia. Postanowiła bądź co bądź dowiedziéć się prawdy, a że już dawno wyrzekła się nadziei pozyskania serca męża, nie powstrzymywała ją ta myśl że może go rozgniewać takiem wdzieraniem się w jego przeszłość.

Dotąd nie przestąpiła nigdy progu żadnej ubogiej chaty, ale teraz, chcąc dojść do zamierzonego celu, zaczęła rozmawiać grzecznie, prawie przyjaźnie z uboższymi mieszkańcami Seaforth'u, a w końcu nawet odwiedziła starą i gadatliwą kobietę, która bardzo lubiła mówić o dobrych dawniejszych czasach. Wychodząc od niej, lady Seaforth znała już dokładnie tajemnicę męża.

Tymczasem nadeszło Boże Narodzenie, a wraz z niem zimowe wakacye które sprowadziły znów do niej synów, i myśli jej zwróciły się na inny przedmiot.

Najważniejszą dla niej rzeczą była przyszłość synów, a Kolin skończył już nauki w Eaton i trzeba było obmyślić stanowczo do jakiego ma przysposobić się zawodu; ale i tu także Godfred stawał jej na przeszkodzie. Pocieszała się jedynie tą myślą, że przyszły spadkobierca jej męża nie będzie współzawodnikiem jej synów, że nie zechce dobijać się o zaszczyt reprezentowania swego hrabstwa, ani też zostać pastorem.

Zapewnie także lord Seaforth nie życzy sobie aby synowiec jego obrał zawód polityczny, skoro ani on, ani żaden z jego poprzedników nie zasiadał w parlamencie. Od najdawniejszych czasów Seaforthowie zajmowali się tylko swemi rozległemi dobrami, nie mieszając się wcale do polityki. Godfred, o ile się zdawało, pójdzie za przykładem swych przodków, wszakże co dzień towarzyszy stryjowi objeżdżającemu dobra, i mówią z sobą tylko o drenach, łąkach i uprawie roli.

Lady Seaforth postanowiła uwiadomić męża o swych zamiarach dotyczących przyszłości synów, ale przedewszystkiem chciała porozumiéć się z nimi, poznać dokładnie ich własne plany i życzenia.

### IV.

### We framudze okna.

Zaraz nazajutrz po przybyciu synów, lady Seaforth oświadczyła im że chce pomówić z nimi po południu o bardzo ważnym dla nich przedmiocie.

O godzinie czwartej siedziała już w małym saloniku przy kominku, i czekając na nich wpadła w głębokie zamyślenie.

Tegoż samego dnia Godfred czekał napróżno na Joasię w galeryi obrazów, i w końcu postanowił zejść do biblioteki; ale przechodząc koło saloniku oblanego jeszcze ostatniemi promieniami słońca, wszedł do niego i usiadł we framudze okna, przed którem roztaczał się prawdziwie wspaniały widok. Podobny zachód słońca uspasabiał go zawsze do smętnej zadumy, więc też i teraz przeniósł się myślą do rodzinnego domu, i zatopiony w tych wspomnieniach nie spostrzegł wcale obecności stryjenki.

Lady Seaforth pogrążona także w głębokiem zamyśleniu, nie widziała wcale że Godfred wszedł do pokoju.

Andrzej pierwszy przybył do salonu, ale nie temi drzwiami przez które wszedł Godfred.

— Gdzież jest Kolin? zapytała matka.

— Przyjdzie zaraz, jak tylko wypali cygaro.

Lady Seaforth wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Chciałabym, rzekła, aby twój brat zaczął się już poważniej zapatrywać na życie, i żeby zamiast myśléć o przyjemnostkach, przyszedł tu z tobą, jak mu to zaleciłam, potrzebuję pomówić z wami o rzeczy bardzo ważnej.

— Zapewnie idzie tu o coś dotyczącego naszej przyszłości, rzekł Andrzej.

— Rzeczywiście, i cieszy mnie to że ty przynajmniej, Andrzeju, pojmujesz ważność tego przedmiotu, i pragniesz równie jak ja rozstrzygnąć tę kwestyę dopóki czas jeszcze.

— Jakto? dopóki czas jeszcze? zapytał Andrzej.

— Tak, zanim zostaną zajęte miejsca, które pragnę dla was pozyskać.

— Więc mama się obawia, aby ktoś inny nas nie uprzedził?

— Bardzoby to być mogło; zawsze lepiej zapobiedz temu. Czy już stanowczo obrałeś sobie stan duchowny?

— Bez wątpienia; życzę sobie być z początku wikaryuszem przy wuju Williamie Cartwright, a następnie otrzymać probostwo w Seaforth.

— Otóż to właśnie że na to probostwo nie można liczyć tak dalece, rzekła lady Seaforth.

— Czemu? zawołał Andrzej, przecie Godfred nie zatrzyma tego miejsca dla siebie. Cóżby z niem zrobił.

— Tak, można być pewnym że nie zajmie go osobiście, ale może miéć przyjaciół, kolegów. Znajdzie z pewnością w uniwersytecie wielu młodych ludzi, którzy będą się starali zaskarbić sobie jego łaski i otrzymać obietnicę. A jest to probostwo bardzo korzystne; przynosi parę tysięcy funtów rocznie.

— O! gdyby przynosiło tylko połowę tego, zawołał Andrzej z żywością, to i w takim razie przełożył bym je nad każde inne.

— Nie mówiłbyś z takiem lekceważeniem o pieniądzach, gdybyś znał lepiej ich wartość, odpowiedziała lady Seaforth. Ale zkądże pochodzi to gorące pragnienie objęcia probostwa koniecznie w Seaforth?

— Wynika ono z mego szczerego przywiązania tak do tych miejsc jak i do jego mieszkańców, odpowiedział. O! tak, pragnąłbym spędzić życie wśród tych poczciwych wieśniaków, i milszą byłaby mi tu chatka niż gdzieindziej pałac. Niedawno temu, nie wiem zkąd przyszło mi na myśl, że ponieważ i ja i Kolin jesteśmy tu zupełnie obcy, więc lada chwila przyjdzie nam opuścić Seaforth, — ale zniósłbym łatwo chwilowe wygnanie, gdybym mógł pocieszać się nadzieją, że powrócę tu jako pleban i tu dni moje zakończę.

— Więc tak bardzo polubiłeś te strony? zapytała matka.

— O! tak, odpowiedział Andrzej, jest to moje jedyne *home*; innego nie przypominam sobie.

— Jakież więc wspomnienia pozostały ci z dziecinnych lat twoich? rzekła znów lady Seaforth.

— Sięgając myślą w przeszłość, przypominam sobie jakieś ciasne, smutne i brudne uliczki Londynu i małe ciągnące się wzdłuż nich domki. Nie! nie! nie miałem nigdy inego *home* prócz tego pałacu.

— Nie pamiętasz więc tej ślicznej doliny przeżniętej strumykiem, w którym kąpałeś się tak często z Kolinem, gdy byliście jeszcze dziećmi?

— Kolin wspominał mi o niej często, ale sam przez się zachowałem o tej miejscowości zaledwie jakieś niepewne wspomnienie.

— Dziwi mnie to bardzo że mogłeś tak zupełnie zapomniéć o Szkocyi; jestem pewna ze Kolin lepiej pamięta swój kraj rodzinny, i szczegóły ubiegłego w nim życia.

— O! z pewnością, zawołał Andrzej, ale też brat mój jest prawdziwym Highlanderem. Marzy tylko o tem aby mógł pozyskać kiedyś majątek dozwalający mu wrócić pod swą rodzinną strzechę, o której mowi ciągle, równie jak o przywiązaniu okolicznych mieszkańców do naszej rodziny.

Rozmowę przerwało wejście Kolina, nucącego właśnie jakąś szkolną baladę. W każdym innym razie nie podobałoby się to lady Seaforth, ale tak jej przykro było że młodszy jej syn zapomniał zupełnie o swym rodzinnym zakątku ziemi, że przywiązanie do niej starszego tym większą sprawiało jej przyjemność.

— Jesteś nakoniec, rzekła, siadaj i słuchajcie uważnie, gdyż idzie tu o bardzo ważne dla was rzeczy.

W tej chwili Joasia ukazała się w tychże samych drzwiach którem wszedł Godfred i nieśmiało próg przestąpiła, patrząc na okno przy którem Godfred siedział za ciężką jedwabną firanką. Już zamierzała tam pobiedz, gdy spostrzegłszy matkę i braci, znikła w mgnieniu oka za drzwiami. Kolin tylko ją spostrzegł, ale zajęty czem innem nie zwrócił na to w tej chwili uwagi.

(*D. c. n.*)

## Opis do N-ru 48.

*(Dalszy ciąg.)*

N. 11. Kosz na drzewo do kominka.

Aplikacya dana z jasno-zielonego atłasu, na tle ciemno-zielonem aksamitnem, naszyta włóczką i jedwabiem. Boki czarno lakierowanego kosza zdobią sute kwaściki, a w około aplikacyi dana torsadka strzyżona.

N. 12-14. Opis na arkuszu z krojami.

N. 17—18. Krawatki do zawiązania na okryciu.

Długość wynosi 130—150 cent., a szerokość 15 do 25; ryc. 17 przedstawia krawatkę z bladoniebieskiego atłasu, zakończoną efektownym haftem maszynowym, filozelą vieil-or i nitką złotą. Atlas wycina się z pomiędzy deseniu, a skończony haft podszywa złotawo świecącym tiulem. Druga krawatka jest z blado-różowej materyi surah, końce zdobne są plisą pluszową 4 c. szeroką, koronką gipiurową i kontrafałdami z materyi surah, po 6 c. długiemi a 8 szerokiemi.

N. 19—20. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—10a.

Płaszczyk z prostemi szerokiemi rękawami, ma kołnierz i 12—15 c. szerokie obłożenie dane z pluszu; efektowne przybranie stanowi pasmanterya szmuklerska, naszyta podług ryc. 19—20. Odszycie nie wymaga żadnego opisu; rękawy wszywają się podług odpowiednich liter, a brzeg zostający od Q do Y jak również od gwiazdki do Q i od gwiazdki do Y obejmuje się listewką.

N. 23 i 52. Paletot wcinany. Krój na arkuszu N. XII, fig. 68—71a.

Model był z bronzowego Duvetine, ciepłego, lekko fryzowanego materyału, przybrany 12 c. szerokiem obłożeniem z piór i guzikami z konchy perłowej.

N. 41—42. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój na arkuszu N. VII, fig. 35—38.

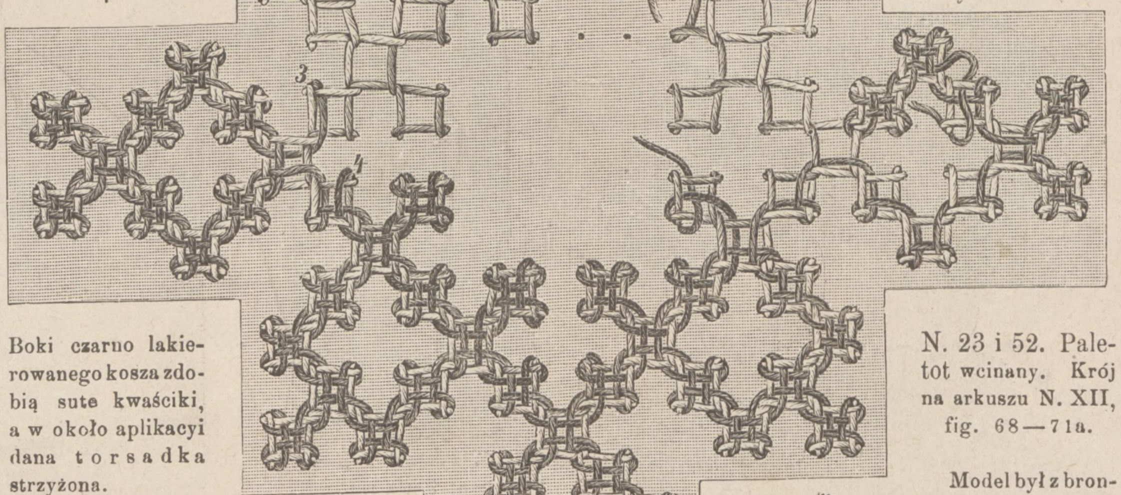
Pelerynkę taką można wykończyć oddzielnie; plecy płaszczyka dopełnione są na długość kawałkiem materyału, złożonym w kontrafałdy, 23 cent. długim a 80 szerokim. Na kieszonki przemarszczone w nagłówek u góry i u dołu, potrzeba kawałków kwadratowych po 14 cent. długich; szerokie rękawki zmarszczone są u ręki na elastykę. Krając pelerynkę podług f. 38, dodaje się środkiem pleców materyał na założenie czterech fałdek po 2 c. sze-



N. 2. Kapotka pluszowa. Patrz ryc. 30.



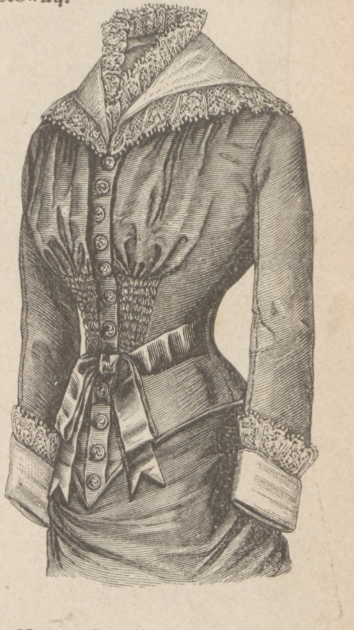
N. 3. Kapelusz okrągły filcowy opasany sznelą.



N. 14. Wykonanie ściegu plecionego, powiększone. Do ryc. 11 w N. 47.



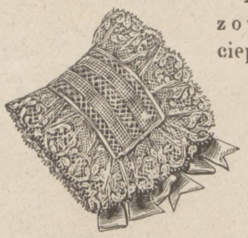
N. 4. Stanik bluzkowy marszczony zdobny koronką. Do r. 1-2 w N-rze 47.



N. 5. Stanik bawełnowy marszczony z kołnierzem i mankietami płóciennemi. Do ryc. 1—2 w N. 47. Krój na arkuszu N. X, fig. 53—59.



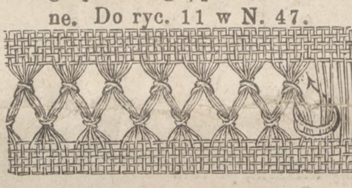
N. 6. Mankiet do ryc. 8.



N. 7. Mankiet do ryc. 8.



N. 8. Kołnierz chusteczkowy. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 39. Patrz ryc. 6—9.



N. 10. Wiązanie kratki ażurowej. Do ryc. 8—9.



N. 9. Kołnierz chusteczkowy. Patrz ryc. 6—8.



N. 11. Kosz na drzewo do kominka.



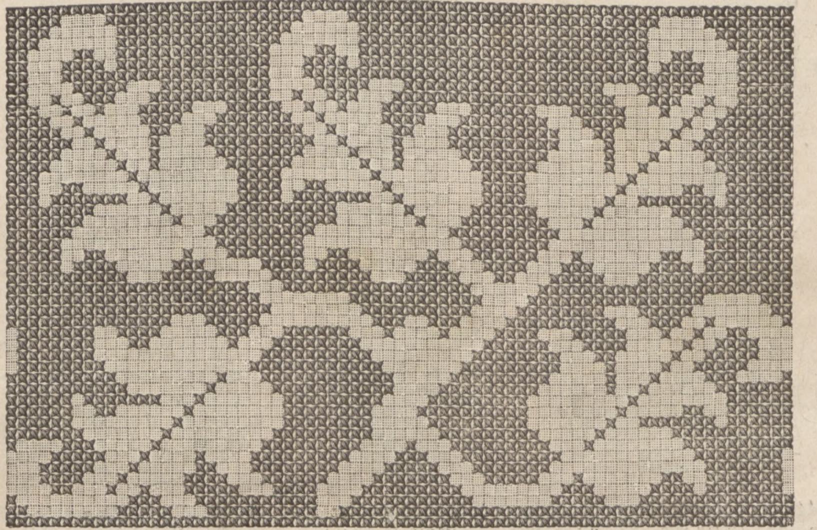
N. 12. Suknia z krótkiem vêtement. Patrz r. 13-14, 36 i 64. Krój i opis na arkuszu N. I, fig. 1—5.



N. 14. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 12. Krój i opis na arkuszu N. I, fig. 1—5.



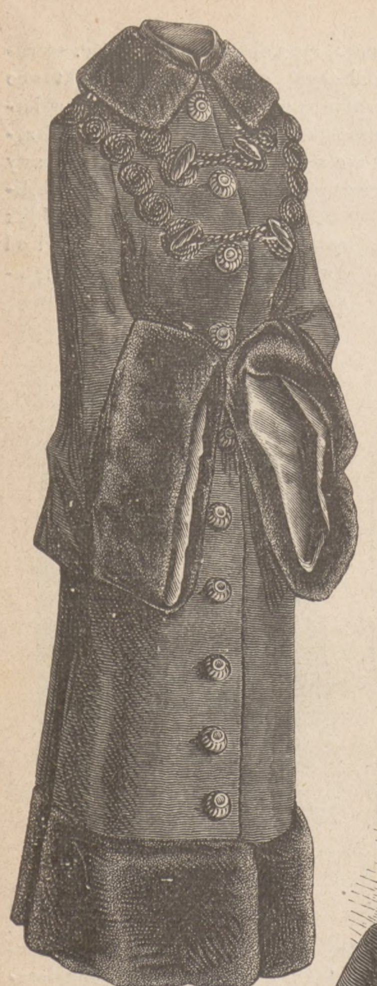
N. 13. Spódnica dor. 12 i 14.



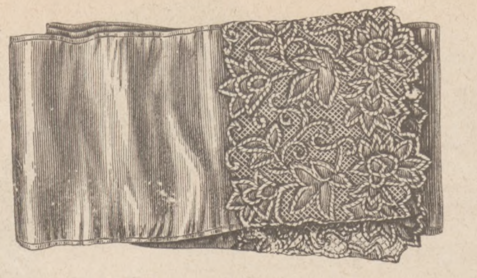
N. 15. Szlak na ścieg krzyżykowy. Do ryc. 11 w N-rze 47.



N. 16. Spódnica dor. 1-2 w N. 47.



N. 19. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 20. Krój na ark. N. II, f 6-10a.



N. 17. Krawatka do zawiązania na okryciu.



N. 26. Kapelusz okrągły pluszowy zdobny atłasem, piórami i frendzlą z perełek. Patrz ryc. 27.



N. 21. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 22.



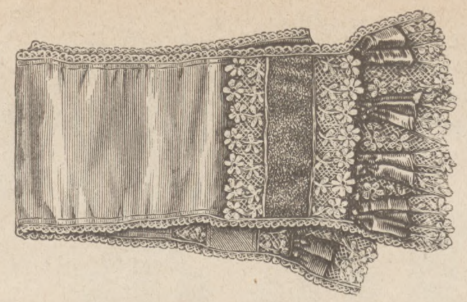
N. 22. Płaszczyk z pelerynką. Patrz r. 21. Krój i opis na arkuszu N. XI, fig. 61—67a.

N. 23. Długi paletot. Patrz ryc. 52. Krój na ark. N. XII, fig. 68—71a.

N. 24. Paletot wcinany z odciętą baskiną. Patrz r. 25. Krój i op. na ar. N. III, f. 11-16a.



N. 25. Paletot wcinany z odciętą baskiną. Patrz ryc. 24.



N. 18. Krawatka do zawiązania na okryciu.



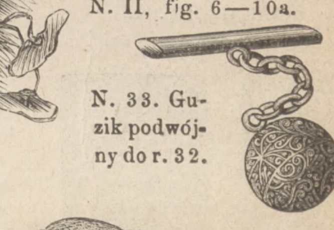
N. 28. Kapelusz aksamitny zdobny piórami i hiszpańską koronką. Patrz ryc. 29.



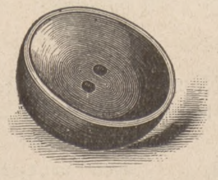
N. 20. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 19. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—10a.



N. 34. Rękaw do sukni z mankietem zapiętym na guzik z łańcuszkiem. Patrz ryc. 33.



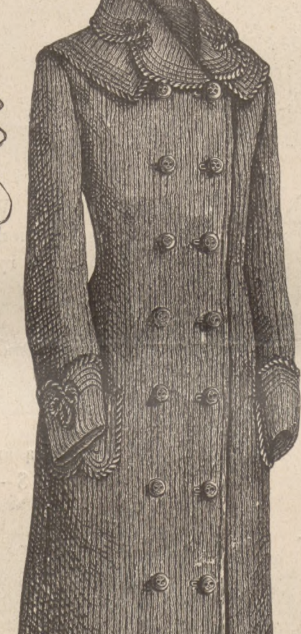
N. 33. Guzik podwójny do r. 32.



N. 31. Guzik rogowy.



N. 35. Rękaw do paletocika ryc. 29 i 36 w N. 47. Krój na arkuszu N. XVIII f. 103.



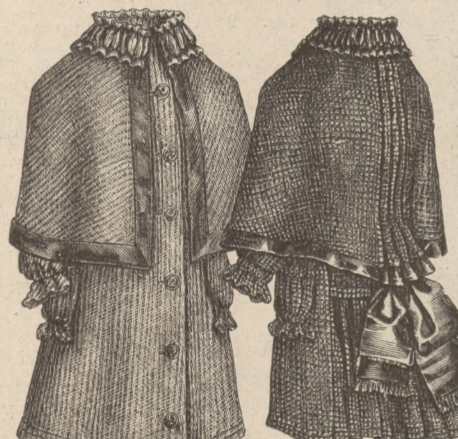
N. 37. Paletot z podwójnym kołnierzem dla panienki lat 12-14. Patrz r. 38. Krój i opis na ark. N. XV, f. 85-92.



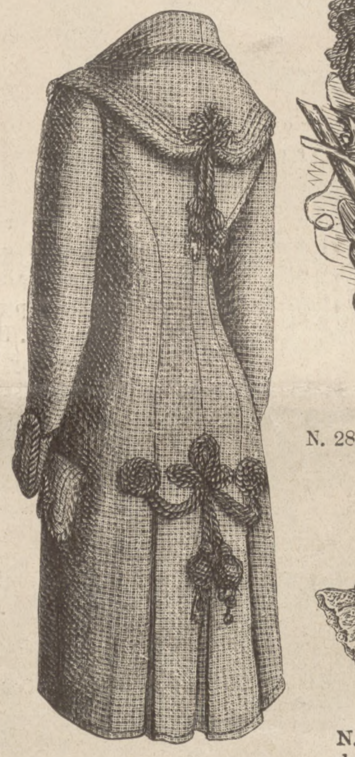
N. 39—40. Paletocik dla dziecka lat 2—4. Krój i opis na ar. N. XVI, f. 93-98.



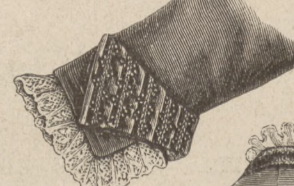
N. 27. Kapelusz okrągły pluszowy. Patrz ryc. 26.



N. 41—42. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój na ar. N. VII, f. 35-38.



N. 38. Paletot z podwójnym kołnierzem. Patrz ryc. 37.



N. 36. Rękaw do sukni r. 12 do 14. Krój i op. na ark. N. I, f. 3-4.



N. 32. Guzik rogowy.



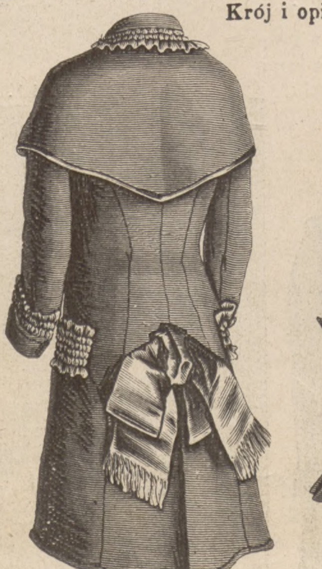
N. 43. Paletot ozdobiony haftem i obłożeniem z piór. Krój i deseń na arkuszu N. IX, fig. 40—42.



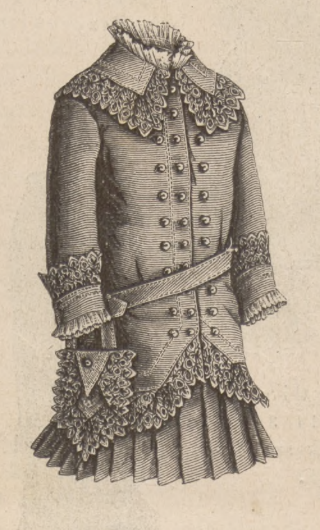
N. 44. Suknia z tuniką odwiniętą z przodu. Patrz ryc. 45. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 104.



N. 29. Kapelusz aksamitny zdobny piórami i hiszpańską koronką. Patrz ryc 28.



N. 46. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 6-8. Patrz r. 47. Krój na ark. N. VI, f. 30—34.



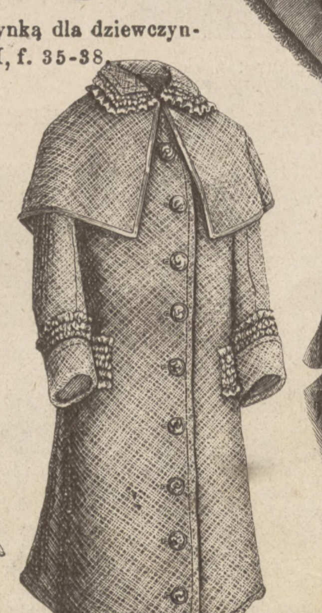
N. 48. Sukieneczka dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 49. Krój i deseń na arkuszu N. IV, fig. 17—22a.



N. 50—51. Sukienka z ...tement dla dziewczynki lat 10—12. Krój na arkuszu N. XX, fig. 105.



N. 49. Sukieneczka dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 48.



N. 47. Paletot z krótką pelerynką. Patrz ryc. 46.



N. 30. Kapotka pluszowa zdobna wstążką morową i piórami. Patrz ryc. 1.



N. 45. Suknia z tuniką odwiniętą z przodu. Patrz ryc. 44.



N. 52. Paletot długi wcinany. Patrz r. 23. Krój na arkuszu N. XII, fig. 68—71a.

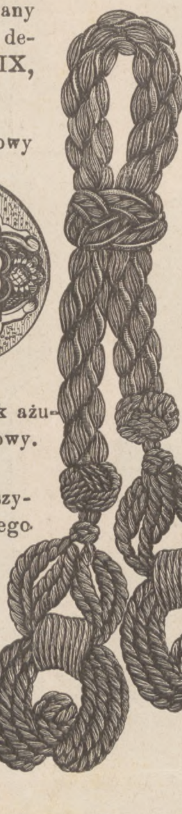
rokich, przestębnowanych na długość 25 c., a u dołu luźno puszczonych. Brzeg pelerynki otacza skos atłasu 3 cent. szeroki; marszczony kołnierzyk liczy 5 cent. szerokości; szarfa z wstążki 11 cent. szerokiej.

**N. 43. Płaszczyk** haftowany obłożony piórami. Krój i deseń na arkuszu N. IX, fig. 40—42.

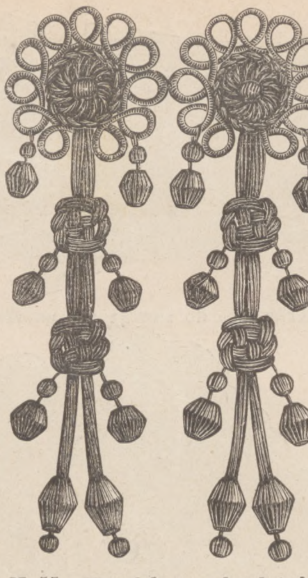
Ryc. 43 przedstawia nowy efektowny wzór aplikacyi sukna stębnowanego lub naszytego łańcuszkiem na atłasie, co można wykonać ręcznie lub w maszynie. Pierwszy wzór takiego wyszycia podaliśmy w N. 36 na r. 34 i 49; dzisiejszy model z materyału koloru bronzowego, ma podszewkę pluszową i zdobny jest obłożeniem z piór. Figura 40 załącza w zmniejszonym formacie krój płaszczyka podług ryc. 50 w Numerze 36; fig. 41 daje deseń tła, fig. 42 wskazuje połączenie szlaku z tłem.



N. 53. Guzik ażurowy metalowy.



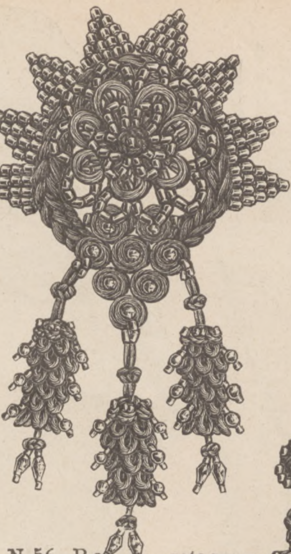
N. 58. Kwaścik szmuklerski.



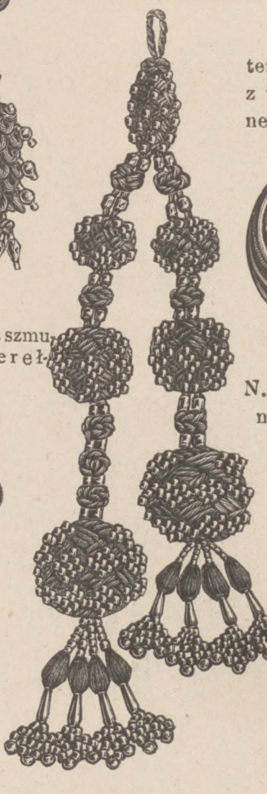
N. 55. Frendzla z grelotek jedwabnych i sznureczka.



N. 57. Kwaścik szmuklerski z perełek i szneli.



N. 56. Rozeta szmuklerska z perełkami.



N. 59. Kwaścik szmuklerski.



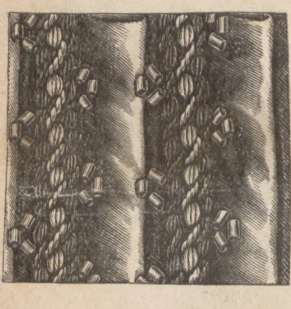
N. 54. Guzik deseniowy metalowy.



N. 60. Przepięcie jedwabne ze sznelą i perełkami.



N. 61. Frendzelka z perełek.



N. 64. Przybranie z plis atłasowych i torsadki z perełek.

**N. 44 i 45. Suknia** z tuniką odwiniętą z boku. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 104.

Odrobiona jest z ciężkiego wełnianego materyału jak na chustki, w modnym myrtowo-zielonym kolorze; mały wykładany kołnierz dany z zielonego aksamitu, a przyozdobienie stanowią proste rzędy stębnówki i piękne guziki. Tunika (fig. 104) przyszyta na 8 cent. poniżej paska spódnicy szeroko zaplisowanej od dołu; przody i boki krajane z dodaniem szerokości brakującej w materyale zszyte są podług *a*. Przy gwiazdce dane przecięcie na 58 cent. wzdłuż, następnie górna część przemarszczona jest na 8 cent. szerokości i przyszyta na spódnicy podług ryc. 44; linja kropkowana oznacza wysokość wykładu z przodu tuniki. Jeden boczny brzeg przodu, sfałdowany podług krzyżyków i kropek, wraz z odpowiadającym sobie bokiem tylnego bryta *b*, wpuszczony jest gładko od 1 do 77 w szew spódnicy. Od 77 do punktu tworzy się dolny brzeg tylnego upięcia, zbywająca reszta łączy się z drugim bocznym brzegiem przodu i fałduje; drugi bok tylnego bryta podpięty w dwa pukle, składając dwukropkami i krzyżykami do siebie. Przy wykładach stanika dodana część dopełniająca wykrój szyi.



N. 66. Szlak do poduszki ryc. 67. Haft maurytański.

**N. 46—47. Paletocik** z krótką pelerynką dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu N. VI, fig. 30—34.

Uszyty z nowego rodzaju materyału, od spodu mięsistego z wierzchu trochę z włosem, zwanego „eskimo", w którym na jasnobronzowem tle przerabiane są kolorowe nitki. Pelerynka objęta wązko jasnobronzowym atłasem; przemarszczanie 3 cent. szerokie dane również z atłasu. Kokarda z wstążki atłasowej 8 cent. szerokiej.

**N. 48—49. Sukienka** ozdobiona haftem dla dziewczynki lat 2—4. Krój i deseń na arkuszu N. IV, fig. 17—22a.

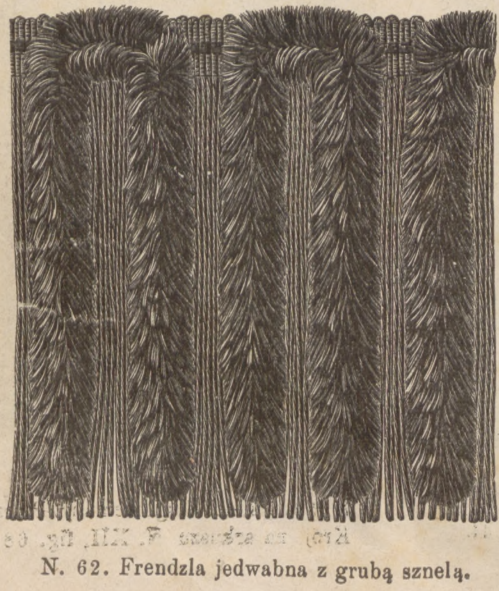
Przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 48—49, odrobiona jast z niebieskiego kaszmiru; przy sukience princesse ukrojonej podług fig. 17—21, dodane jest od spodu plisowanie 22 cent. szerokie, wszyte w pasek i podfastrygowane do podszewki. Przybranie stanowią guziczki z konchy perłowej i oszycie z haftu $4\frac{1}{2}$ cent. szerokiego odrobionego niebieskim jedwabiem na niebieskim kaszmirze podług fig. 22a. Na r. 49 dana sukienka uszyta z fijołkowego aksamitn i atłasu zdobna koronką, zamiast haftu, kieszonka przykrojona podług fig. 22, zawieszona na pasku 2 cent. szerokim.



N. 65. Garnirunek marszczony do sukni ryc. 7—8 w N-rze 47.

**N. 50—51 i r. 33—44. Suknia** z vêtement dla panienki lat 10—12. Krój na arkuszu N. XX, fig. 105.

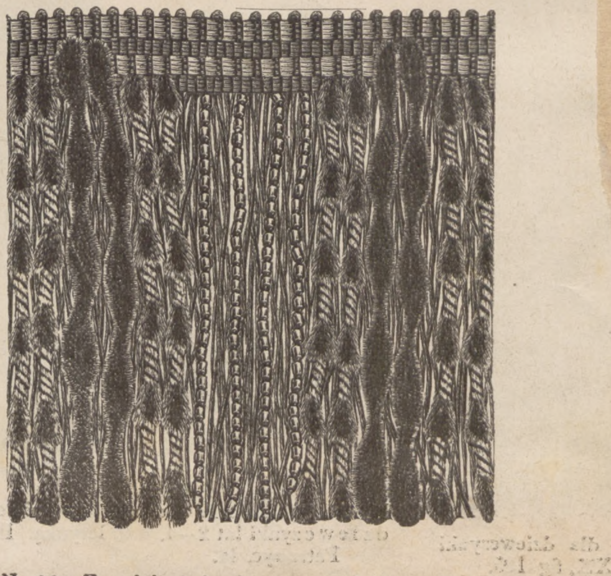
Vêtement do spódniczki z gładkiego materyału, zdobnej plisowaniem, może być takie same lub odmienne. Fig. 105 daje krój vêtement w maleńkim formacie, dopasować je można podług formy zwykłego stanika; linja prosta oznacza podszewkę, linja kropkowana materyał zwierzchni, który w przodach i plecach założony jest w fałdki rozchodzące się u dołu. *(D. n.)*



N. 62. Frendzla jedwabna z grubą sznelą.



N. 67. Poduszka do kanapy. Haft płaski i maurytański. Deseń i opis na arkuszu fig. 106—107.



N. 63. Frendzla jedwabna ze sznelą i perełkami.



# Tygodnik Mód

w Warszawie 1881 r.

## Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 47 i 48.

**Nr. X. Stanik marszczony z bawetem i draperja** do sukni ryc. 1—2 w Nrze 47.

Miara objętości przez połowę: 44 cent. w gorsie, 29 w pasie.

Fig. 53. Przód (A, B, E, F, G, M, ✲, ⁞)
Fig. 54. Boczek (A, B, C, D)
Fig. 55. Połowa pleców (C, D, E, F, L, +)
Fig. 56. Krój połowy karoczka do pleców (+)
Fig. 57. Rękaw (G, H, I, K, •)
Fig. 58. Wykład do rękawa (K, •)
Fig. 59. Połowa kołnierza (L, M)
Fig. 60. Wskazanie kroju połowy draperji (*a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta).

**Nr. XI. Płaszczyk z peleryną.** Ryc. 21—22 w Nrze 48.

Fig. 61. Przód (N, P, T, Y)
Fig. 62. Boczek (N, O, W)
Fig. 63. Połowa pleców (O, P, Q, R, S, T, X)
Fig. 64. Zwierzchnia połowa rękawa (Q, T, U, V, W)
Fig. 65. Spodnia połowa rękawa (T, U, V, W)
Fig. 66. Połowa peleryny (X, Y, ✕ 1 i • 1 do ✕ 3 i • 3)
Fig. 67. Połowa paska do wykroju szyi (X, Y)

Fig. 61a—67a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 61—67.

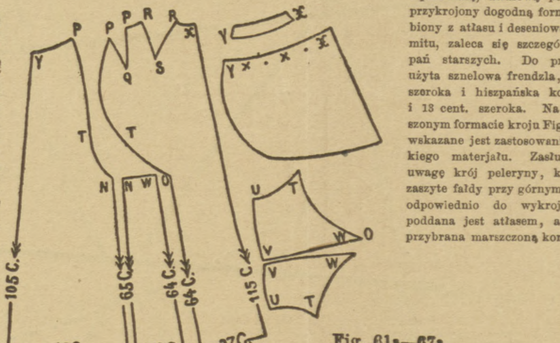


Fig. 61a—67a.

Płaszczyk ten z lekko podwatowaną i pikowaną, atłasową podszewką, przykrojony dogodną formą, odrobiony z atłasu i deseniowego aksamitu, zaleca się szczególniej dla pań starszych. Do przybrania użyta sznelowa frendzla, 16 cent. szeroka i hiszpańska koronka 7 i 13 cent. szeroka. Na zmniejszonym formacie kroju Fig. 61a-67a wskazane jest zastosowanie dwojakiego materjału. Zasługuje na uwagę krój peleryny, która ma zaszyte fałdy przy górnym brzegu, odpowiednio do wykroju szyi; poddana jest atłasem, a u dołu przybrana marszczoną koronką. —

**Nr. XII. Paletocik długi wcinany.** Ryc. 23 i 52 w Nrze 48.

Miara objętości przez połowę: 47 cent. w gorsie, 55 w biodrach.

Fig. 68. Przód (a. e, f, g, ✲, ⁞)
Fig. 69. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 70. Plecy (b, c, d, e, f)
Fig. 71. Rękaw (g, h, i, k)

Fig. 68a—71a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 68—71.

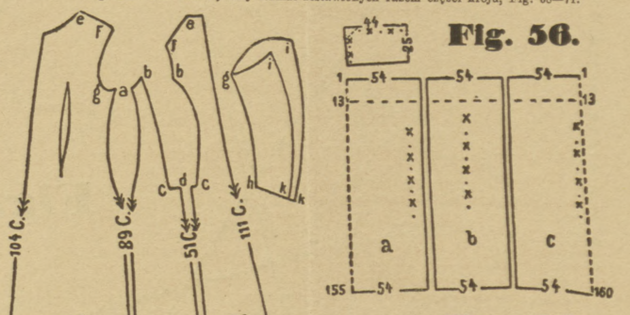


Fig. 56.

Fig. 68a—71a. Fig. 60

**Nr. XIII. Krótki paletocik do figury.** Ryc. 9 i 35 w Nrze 47.

Miara połowy górnej objętości stanu 49, w biodrach 56 cent.

Fig. 72. Przodek razem z przeciętym boczkiem (1, m, n, o, p, w, x, +, •) jedno załamanie formy
Fig. 73. Boczek do pleców (n, o, p, q, r, s, t)
Fig. 74. Plecy (q, r, s, t, u, v, w, x)
Fig. 75. Rękaw (1, y, z, ✲, ⁞)
Fig. 76. Połowa kołnierza (u, +)
Fig. 77. Patka do kieszeni (•)

**Nr. XIV. Ubranie dla chłopca lat 8—10.** Ryc. 20—21 w Nrze 47.

Fig. 78. Majtki (1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8)
Fig. 79. Połowa stanika spodniego (9, 10)
Fig. 80. Przód bluzki (11, 12, 13, 14, 18, 19, 20)
Fig. 81. Połowa pleców (11, 12, 13, 14, 15, 17)
Fig. 82. Rękaw (15, 16)
Fig. 83. Połowa marynarskiego kołnierza (17, 18)
Fig. 84. Patka do kieszonki (19, 20)

**Nr. XV. Paletocik z podwójnym kołnierzem dla panienki lat 12—15.** Ryc. 37—38 w Nrze 48.

Fig. 85. Przód (21, 27, 28, 29, 34, 35, 36, 37)
Fig. 86. Boczek (21, 22, 23, 24)
Fig. 87. Połowa pleców (22, 23, 24, 25, 26, 27, 28)
Fig. 88. Rękaw (29, 30, 31, 32)
Fig. 89. Wykład do rękawa (32, 33)
Fig. 90. Połowa szerokiego spodniego kołnierza (25, 34)
Fig. 91. Połowa szalowego kołnierza (25, 35)
Fig. 92. Patka do kieszeni 36, 37)

Fig. 85a—87a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 85—87.

Paletocik z jasnego materjału ozdobiony wyszyciem ze sznura, danem przy kołnierzu, pelerynce, wykładach do rękawów i kieszonkach, z dodaniem grelotek w arabeskach. Materjał wystający przy boczkach i pleckach składa się w fałdy płasko załamane. Szeroki kołnierz Fig. 90 wszywa się od góry w wązki pasek, a następnie przytwierdza pod szalowym kołnierzem.

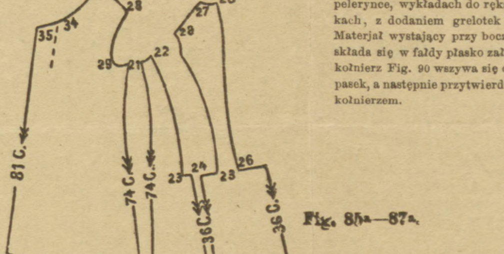


Fig. 85a—87a.

**Nr. XVI. Paletocik dla chłopca lat 2—4.** Ryc. 39—40 w Nrze 48.

Fig. 93. Przód (38, 39, 42, 43, 44, 49)
Fig. 94. Boczek (38, 39, 40, 41)
Fig. 95. Połowa pleców (40, 41, 42, 43, 48)
Fig. 96. Rękaw (44, 45, 46, 47)
Fig. 97. Połowa spodniego kołnierza (48, 49)
Fig. 98. Połowa zwierzchniego kołnierza (48, 49)

Odszycie paletocika nie wymaga opisu; wszystkie części kroju łączą się podług odpowiednich numerów; proste kieszenie liczą po 9 cent. długości, a 13 szerokości, mankiety są 10 cent. długie. Model był z piaskowego materjału, z jedwabnemi wypustkami i wyszyciem ze sznura.

**Nr. XVII. Vêtement paletotowe dla dziewczynki lat 5—7.** Ryc. 26—27 w Nrze 47.

Fig. 99. Plastron (50, 51) 1 założenie
Fig. 100. Przód wraz z boczkiem (50, 51, 52, 53, 54, 55, 58, 59, ✱)
Fig. 101. Połowa pleców (50, 54, 55, 56, 57)
Fig. 102. Połowa kołnierza (56, 59, ✕ 4 i • 4 do ✕ 9 i • 9)

Odpowiedni rękaw patrz Fig. 96.

**Nr. XVIII. Mankiet** do rękawa ryc. 35 w Nrze 48.

Fig. 103. Połowa mankieta (✲)

**Nr. XIX. Tunika** do sukni ryc. 44—45 w Nrze 48.

Fig. 104. Wskazanie kroju draperji (*a* przód, *b* bryt tylny),

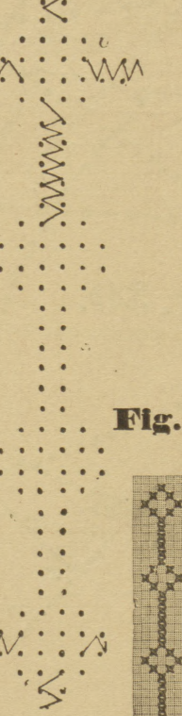
**Nr. XX. Vêtement dla dziewczynki lat 10—12.** Ryc. 43—44 i 49—50 w Nrze 48.

Fig. 105. Połowa vêtement (*a* przód, *b* boczek, *c* połowa pleców).

**Desenie.**

Fig. 106 Narożnik do szlaku } do ryc. 66—67 w Nrze 48.
Fig. 107. Gałązka kwiatów } do ryc. 66—67 w Nrze 48.
Fig. 108. Szablon do ryc. 11—13 w Nrze 47.
Fig. 109—120. Desenie do ściegu plecionego ryc. 11—13 w Nrze 47.

Fig. 108.



**Wzór na poduszkę do kanapy.** Ryc. 66—67 w Nrze 48.

Desenie Fig. 106—107.

Szlak do poduszki robi się oddzielnie na szarem płótnie, haftem maurytańskim, a następnie krytemi ściegami przyszywa się do tła aksamitnego ciemno pawiego koloru, które zdobi lekko rzucona gałązka kwiatów, haftowana ściegiem płaskim, różno kolorową filozelą. Kontury deseniu odrysowanego na płótnie otacza złoty cieniutki kręcony sznureczek, rzadko przydziergany filozelą dwunitkową, sposobem wskazanym na niewykończonej próbce ryc. 66. Złoty sznureczek jest z brzegów w małe pentelki czyli pikoty składany, które zdobią i zarazem łączą ze sobą figury deseniu, przeciągnięte jedne przez drugie. Większe płaszczyzny deseniu zapełnione są ściegiem płaskim, filozelą dwunitkową, wązkie zaś figury arabeskowe zdobi ścieg krzyżowany. Arabeski obwiedzione są z brzegu środkowym orzechowym cieniem, a ścieg krzyżowany robić cieniem ciemniejszym. Ciemno-orzechowym kolorem obwiedzione są figury wystające z arabesek, zapełnione kolorem jasno pawim, ściegiem w karpią łuskę; a listki i gałązki są oliwkowe. Zewnętrzne figury są bronzowe, a wewnętrzne robione trzema cieniami orzechowemi; gałązka kwiatów haftuje się ściegiem płaskim, kolorową filozelą w bladych odcieniach.

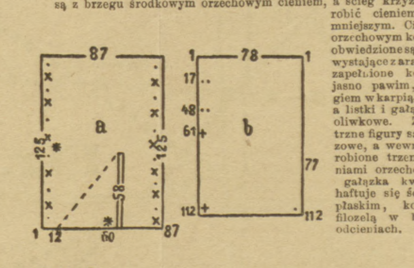


Fig. 104. Fig. 109.

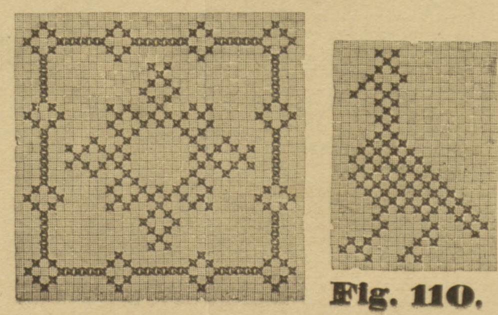
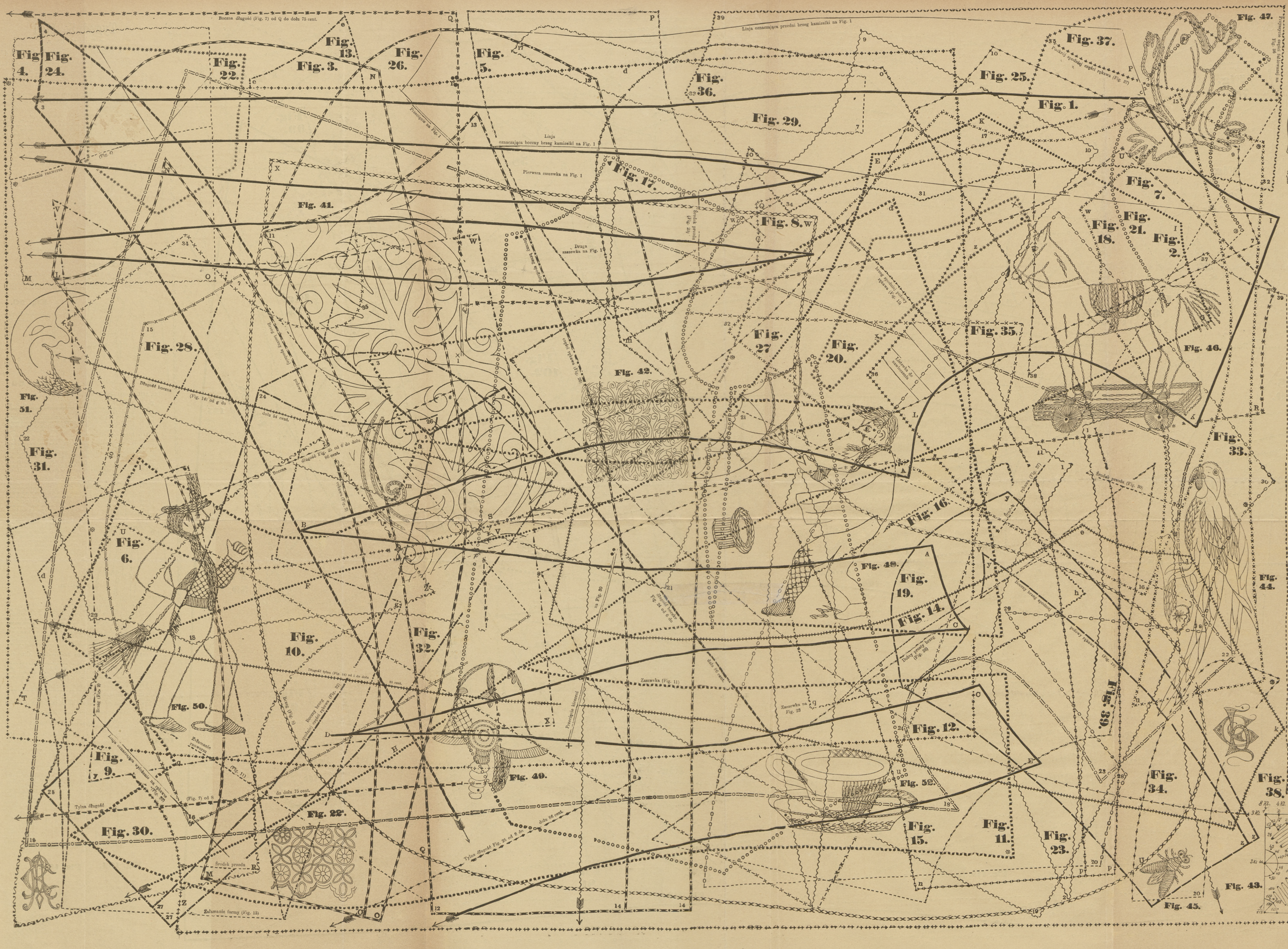


Fig. 110.




# Tygodnik Mód

### w Warszawie 1881 r.

## Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 47 i 48.

**Nr. I. Krótkie vêtement du sukni** ryc. 12—14; 36 i 64 w Nrze 48.
Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 33 w pasie.
Fig. 1. Przód wraz z dwoma boczkami (A, B, C, D, E, I, K, L, P) ▬▬▬▬
Fig. 2. Połowa pleców (E, F, G, H, I, K) ●●●●●●●●
Fig. 3. Rękaw (L, M, N, O) ✕✕✕✕✕
Fig. 4. Połowa wykładu do rękawa (M, O, ✻) ⌒⌣⌒⌣⌒⌣
Fig. 5. Połowa kołnierza (G, P) ⌒⌒⌒⌒⌒
Fig. 1a—2a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—2.

Rycina 12 przedstawia oddzielnie spódnicę przybraną dwoma falbanami plisowanemi po 24 cent. szerokości, przedzielonemi przemarszczeniem 9 cent. szerokiem; na przednim brycie dane przemarszczenie 23 cent. długie, 52 szerokie. Tylne upięcie dane z bryta 90 cent. długiego, 64 szerokiego. Przy vêtement szew pleców dochodzi do H, boczny szew do F; dalej zaś części te podszywają się atłasem i podpinają w trzy pukle podług krzyżyków i kropek; brzegi boczków pod puklami zfałdowane do 15 cent. i związane na tasiemki. Odpowiednio do ozdób szmuklerskich, u dołu dana piękna frendzla; naszycie ze skosu atłasowego i grubego jedwabnego sznureczka z perełkami, dane z brzegów przednich vêtement, przy kołnierzu i wykładach, przedstawia w naturalnej wielkości ryc. 64. Pasek nakształt szarfy.

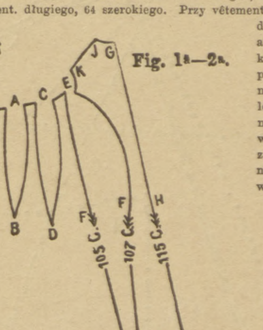


Fig. 1a—2a.

**Nr. II. Okrycie z szerokiemi rękawami.** Ryc. 19—20 w Nrze 48.
Fig. 6. Przód (Q, T, U, V, Z, ✻) ↔↔↔↔↔
Fig. 7. Połowa pleców (Q, R, S, T, U, ⁚, ✕ 1 i • 1 do ✕ 2 i • 2) ✻—✻—
Fig. 8. Zwierzchnia połowa rękawa (Q, U, V, W, X, Y) ✕✕✕
Fig. 9. Spodnia połowa rękawa (V, W, X, Y, ✻) •▬•▬•▬
Fig. 10. Połowa kołnierza (R, Z) ∾∾∾∾∾
Fig. 6a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 6—10.

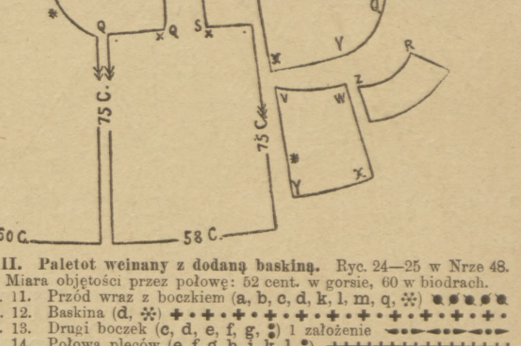
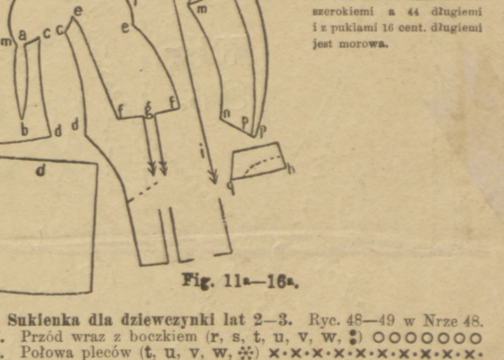


Fig. 6a—10a.

**Nr. III. Paletot wcinany z dodaną baskiną.** Ryc. 24—25 w Nrze 48.
Miara objętości przez połowę: 52 cent. w gorsie, 60 w biodrach.
Fig. 11. Przód wraz z boczkiem (a, b, c, d, k, l, m, q, ✻) ●●●●●
Fig. 12. Baskina (d, ✻) +•+•+•+•+•
Fig. 13. Drugi boczek (c, d, e, f, g, ⁚) 1 założenie ▬••▬••▬••
Fig. 14. Połowa pleców (e, f, g, h, i, k, l, ⁚) ┼┼┼┼┼┼┼┼
Fig. 15. Rękaw (m, n, o, p) ⋈⋈⋈⋈⋈
Fig. 16. Połowa kołnierza (h, q) ⌒⌒⌒⌒⌒
Fig. 11a—16a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 11—16.

Przód i pierwszy boczek krajane w jednym ciągu, dopełnione są oddzielnie dodaną baskiną; krająć drugie boczki naddaje się wzdłuż przedniego brzegu od d 3—4 cent. na wykład, wywinięty ku lewej stronie i podszyty czarnym atłasem, danym pod drugim boczkiem i plecami bez względu na głębokie fałdy. Górny brzeg baskiny od d i brzeg boczny podszyty listewką i przyczepiony górnym i dolnym brzegiem do pleców. Przybranie paletota stanowi „moiré antique" i piękne ażurowe guziki. Szarfa z końcami 14 cent. szerokiemi a 44 długiemi i z puklami 16 cent. długiemi jest morowa.


Fig. 11a—16a.

**Nr. IV. Sukienka dla dziewczynki lat 2—3.** Ryc. 48—49 w Nrze 48.
Fig. 17. Przód wraz z boczkiem (r, s, t, u, v, w, ⁚) OOOOOOO
Fig. 18. Połowa pleców (t, u, v, w, ✻) ×·×·×·×·×·×·
Fig. 19. Rękaw (r, x, y, z) —— —— —— ——
Fig. 20. Wykład do rękawa (x, z, +, •) ✻✻✻✻✻✻✻✻
Fig. 21. Połowa kołnierza (✻, ⁚) OOOOOOOOOO
Fig. 22. Kieszeń ✻✻✻✻✻✻✻✻✻✻
Fig. 22a. Deseń.

**Nr. V. Płaszczyk z krótką pelerynką.** Ryc. 24—25 w Nrze 47
Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 58 w biodrach.
Fig. 23. Przód wraz z boczkiem (1, 2, 3, 9, 10, 11, 17) ∿∿∿∿
Fig. 24. Drugi boczek (3, 4, 5, 6) ▬▬▬▬▬
Fig. 25. Połowa pleców (4, 5, 6, 7, 8, 9, 10) ◆◆◆◆◆
Fig. 26. Rękaw (11, 12, 13, 14) ✕•✕•✕•✕•
Fig. 27. Przód pelerynki (15, 16, 17) ×·×·×·×·×·
Fig. 28. Połowa pleców (7, 15, 16) ═×═×═×═×
Fig. 29. Połowa paska do wykroju szyi (7, 17) ⌒⌣⌒⌣⌒⌣
Fig. 23a—28a. Mały format zestawionych części płaszczyka Fig. 23—28.



Fig. 23a—28a.
Fig. 40.

**Nr. VI. Paletocik z małą pelerynką dla dziewczynki lat 6—8.** Ryc. 46—47 w Nrze 48.
Fig. 30. Przód (18, 19, 22, 23, 24, 30, ✻, ⁚, +) ═O═O═O═O
Fig. 31. Połowa pleców (18, 19, 20, 21, 22, 23) ⊓⊔⊓⊔⊓⊔
Fig. 32. Rękaw (24, 25, 26, 27) ▬•▬•▬•▬•
Fig. 33. Połowa pelerynki (20, 28, 29, 30, ✻) O—O—O—O—
Fig. 34. Połowa kołnierza (20, ✻) ◆◆◆◆◆

**Nr. VII. Płaszczyk z peleryną dla dziewczynki lat 3—5.** Ryc. 41—42 w Nrze 48.
Fig. 35. Przód (31, 32, 33, 34. 35, 40) —×—×—×—×
Fig. 36. Plecy (31, 32, 33, 34, 39) ⌒⌒⌒⌒⌒
Fig. 37. Rękaw (35, 36) ++++++++++
Fig. 38. Połowa pelerynki (37, 38, 39, 40) ↔↔↔↔↔

**Nr. VIII. Szeroki kołnierz.** Ryc. 8—10 w Nrze 48.
Fig. 39. Połowa kołnierza ⌒⌒⌒⌒⌒

**Nr. IX. Okrycie haftowane obłożone piórami.** Ryc. 43 w Nrze 48.
Fig. 40. Mały model połowy okrycia (*a* przodek, *b* boczek, *c* plecy, *d* rękaw).
Fig. 41. Model obłożenia.
Fig. 42 Próbka deseniu.

**Desenie** do ryc. 18, 19, 22 i 23 w Nrze 48.
Fig. 43. Deseń do koronki robionej ręcznie na szpilkach. Ryc. 18—19 w Nrze 47.
Fig. 44-52. Różne wzory do dywanika dla dzieci. Ryc. 22—23 w Nrze 47.

